

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 30 (1144) 10 PAŹDZIERNIKA 1982 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

„Pójdźcie na wesele...” ●
Święto chrześcijańskiej rodziny ●
Z życia naszego Kościoła – Szczecin ●
Symbole narodowe – polskie barwy ●
Ludowe poczucie piękna ●
W Dniu Nauczyciela



ŚWIĘTA RODZINA

— malował Jacopo d'Antoniola Negreti, zwany Palma Vecchio
(1480—1528)

DZIEWIĘTNASTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Efezjan (4, 23-28)

Bracia: Odnówcie się duchem umysłu waszego i obleczcie się w nowego człowieka, który według Boga stworzony jest w sprawiedliwości i w świętości prawdy. Dlatego odrzuciwszy kłamstwo, mówcie każdy prawdę z bliźnim swoim, bo jesteśmy jedni drugich członkami. Gniewajcie się, ale nie grzeszcie: niechaj słońce nie zachodzi nad zagniewaniem waszym. Nie dawajcie przystępu szatanowi: kto kradł niech już nie kradnie, lecz niech raczej pracuje, wykonując rękoma swymi to, co dobre jest, aby miał skąd udzielić potrzebującemu.

Ewangelia według św. Mateusza (22, 1-14)

Onego czasu: Jezus mówił do przedniejszych kapłanów i faryzeuszów w przypowieściach, rzekąc: Podobne się stało królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swemu. I posłał sługi swoje, aby wezwać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Potem posłał inne sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: Oto ucztę mam przygotowałem, pobite woły moje i co było karmnego, i wszystko gotowe, przybywajcie na gody. Ale oni nie dbając o to, odeszli: jeden do posiadłości swojej, a drugi do kupiectwa swego, a pozostali pochwycili jego sługi i zelżywszy ich, zabili.

Gdy to posłyszał król, rozgniewał się i posłałszy wojska swoje, wytracił onych mężobójców, a miasto ich podpalił. Wtedy rzekł sługom swoim: Gody wprawdzie są gotowe, ale zaproszeni nie byli godni. Idźcie przeto na rozstaje dróg, a kogokolwiek znajdziecie, wzywajcie na gody.

I słudzy jego wyszedłszy na drogi zgromadzili wszystkich, których napotkali, złych i dobrych, i napełniła się sala godowa biesiadnikami.

A wszedł król, aby zobaczyć biesiadników, i ujrzał tam człowieka nie przyzwanego na szatę godową. I rzekł mu: Przyjacielu, jakże tu wszedłeś, nie mając szaty godowej? A on milczał. Wtedy rzekł król sługom: Zwiążawszy mu ręce i nogi, wrzućcie go do ciemności zewnętrznych: tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wielu jest wezwanych, lecz mało wybranych.

„Pójdźcie na wesele...”

Za pośrednictwem liturgii mszalnej, zwraca dziś Kościół naszą uwagę na rzeczy ostateczne. Bowiem ewangelia (Mt 22,1-14) przedstawia zaproszonych na ucztę weselną. Jednakże uczestnictwo w przyjęciu wymaga wysiłku ze strony zaproszonych, gdyż przyzwać się muszą na „szatę weselną”. Przypomina to również Apostoł, mówiąc: „Obleczcie się w nowego człowieka, który stworzony jest według Boga w sprawiedliwości i świętości prawdy” (Ef 4,24).

W oparciu o fragment dzisiejszej ewangelii, zwrócimy uwagę na wielką troskę odwiecznego Króla o to, by wszyscy ludzie skorzystali z zaproszenia, oraz na ich stosunek do tego zaproszenia.

Wydarzenie, o którym mowa, miało miejsce w ostatnich dniach przed męką i śmiercią Chrystusa. Już po raz ostatni próbuje On poruszyć zatwardziałe serca przywódców izraelskich. Kontynuując polemikę z przeciwnikami, posłużył się znów formą przypowieści. Zwraca na to uwagę Ewangelista, gdy pisze: „Jezus odpowiadając (przedniejszym kapłanom i faryzeuszom), mówił do nich... w podobieństwach tymi słowy: Podobne jest królestwo Niebios do pewnego króla, który sprawił wesele swemu synowi” (Mt 22,1-2). Przedstawienie Boga jako króla a królestwa mesjańskiego jako ucztę weselną, znane było Żydom z prorocztw starotestamentowych. Wykorzystał je Zbawiciel, by prawdę o królestwie Bożym uczynić bardziej zrozumiałą.

Gdy zbliżał się czas rozpoczęcia godów, król — jak to było w wschodzie w zwyczaju — „posłał swe sługi, aby wezwali zaproszonych na wesele, ale ci nie chcieli przyjść” (Mt 22,3). Ewangelia nie wspomina jednak, co było powodem zlekceważenia zaproszenia królewskiego. Podobnie zachowali się ci, którzy zaproszeni byli na wielką ucztę (por. Łk 14,18).

Nie zrażając się jednak niepowodzeniem, władca „znowu posłał inne sługi, mówiąc: Oto ucztę mam przygotowałem, woły moje i bydło tuczne pobito, i wszystko gotowe, przyjdźcie na wesele” (Mt 22,4). Należy tutaj przypomnieć, że akcent tej części przypowieści, spoczywa nie na samej uczcie, ale na dobroci i wielkoduszności monarchy. Angażuje on cały swój autorytet, by wszyscy zostali zaproszeni, by sala biesiadna została zapełniona. W powszechnym zaproszeniu na ucztę przebija się idea powołania wszystkich ludzi do królestwa Bożego, na co św. Mateusz często zwracał uwagę.

Jednak i tym razem zaproszenie nie spotkało się z właściwym przyjęciem. Zaproszeni „nie dbając o to, odeszli, jeden do własnej roli, drugi do swego handlu” (Mt 22,5). Były to tylko pozory, aby nie pójść na ucztę, którą wzgardzili dla swoich chwilowych zysków. Inni postąpili jeszcze gorzej. Zamiast — wschodnim zwyczajem — z okazji godów małżeńskich, złożyć hołd następcy tronu, dopuścili się zniewagi królewskich wysłanników. Bowiem „pochwyciwszy jego sługi, znieważyli i pozabijali ich” (Mt 22,6).

Ostatecznie, dzięki cierpliwości władcy, sala biesiadna została napełniona i ucztę weselną się odbyła. Przypowieść swą zakończył Jezus znamionym stwierdzeniem: „Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych” (Mt 22,14). Innymi słowy, samo powołanie do królestwa Bożego nie jest gwarancją jego rzeczywistego zdobycia i posiadania.

Czytając dzisiejszą perykopę ewangeliczną zwracamy zazwyczaj uwagę na fakt, że wszyscy ludzie zaproszeni są przez Boga na wieczyste gody Jego Syna, oraz, że wezmą w nich udział tylko ci, którzy dojdą do bram wieczności odziani w szatę godową łaski uświęcającej. Tymczasem w przypowieści zawarta jest inna jeszcze wielka prawda, nad którą rzadko się zastanawiamy. Jest to prawda, że Bóg nie tylko zaprasza swe dzieci na wieczną biesiadę, ale sam szuka tych, którzy mają zapełnić salę godową. Tymczasem wielu ludzi zamiast skorzystać z szaczonego zaproszenia — ucieka od Boga.

Rzeczywiście. Bóg szuka człowieka od wieków... Jak to stwierdzają dzieje ludzkości, idzie On za człowiekiem od początku jego istnienia na ziemi. Sam objawia się człowiekowi. Posyła doń sługi swoje. Przypomina to Apostoł, mówiąc: „Wielokrotnie i wieloma sposobami przemawiał Bóg dawnymi czasami do ojców przez proroków; ostatnio (zaś), u kresu tych dni, przemówił do nas przez Syna” (Hbr 1,1) swego, Jezusa Chrystusa. Rozpoczętą misję przekazał On Kościołowi, któremu (jako naczelne zadanie) zlecił szukanie i zdobywanie ludzi dla królestwa Bożego. Z upoważnienia Kościoła — jak niegdyś czynili to apostołowie — wypełniają to zadanie biskupi i kapłani. Szuka wreszcie Bóg człowieka przez natchnienia łaski. Przykładem tego jest Szaweł, który powalony na ziemię u bram Damasku, „rzekł: Kto jesteś Panie? A On (mu odpowiedział): Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz; ale powstań i idź do miasta tam ci powiedzą co masz czynić” (Dz 9,5-6). Szuka go przez wyrzuty sumienia, gdy ten niepomny wezwania na gody, odeń się oddala.

Tymczasem człowiek — na swe nieszczęście — ucieka od Boga... Nie należy tego rozumieć w ten sposób, że wszyscy ludzie stronią od Stwórcy i naśladują gości zaproszonych na gody, że wszyscy płacą Mu za zaproszenie niewdzięcznością i wzdargą. Zresztą przed Bogiem uciec się nie da. Bo — według słów św. Pawła — „w nim żyjemy i poruszamy się, i jesteśmy” (Dz 17,28a), czy chcemy, czy nie chcemy. Taka jest prawda.

Przykładów w tym względzie dostarcza nam już objawienie Stwórcy Zakonu. Dowiadujemy się z niego, że pomiędzy Bogiem a ludem izraelskim istniało przymierze: On był ich królem, a oni jego ludem. Zdumiewającymi cudami na rzecz narodu wybranego utwierdzał Bóg to przymierze. A jednak synowie izraelscy wielokrotnie od Niego odstępowali. Stwierdza to Bóg przez usta Proroka, mówiąc: „Synów odchowalem i wypiaستowałem, lecz oni odstąpili ode mnie” (Iz 1,1). Wyrazem tego są również słowa skargi: „Jakie zło znaleźli ojcowie wasi u mnie, że oddalili się ode mnie, a poszli za marnościami i zmarnieli” (Iz 2,5). Nie inaczej było z Chrystusem, który „do swej własności przyszedł, ale swoi go nie przyjęli” (J 1,11). I to było największą tragedią narodu wybranego.

Podobne zjawisko obserwujemy często we współczesnym chrześcijaństwie. Jesteśmy bowiem świadkami jak wielu wyznawców Chrystusa uczestniczy we Mszy św. nie tylko w niedziele i święta, ale i w dni robocze, słucha co tydzień słowa Bożego i corocznie uczestniczy w rekolekcjach, często przystępuje do sakramentów oraz mnoży inne praktyki pobożne. Co więcej. Ludzie ci są zwykle wewnętrznie przekonani, że zasługują na miano religijnych i sprawiedliwych, że należą do grona wybranych na wieczną ucztę. Równocześnie jednak w ich codziennym postępowaniu dominuje przesadna miłość własna, chciwość i zachłanność, ich sercami całkowicie zawładnęła niechęć, nienawiść i mściwość. Są to chrześcijanie tylko z metryki, którzy nie tylko nie odpowiedzieli na zaproszenie ze strony odwiecznego Króla, ale swoim postępowaniem oddalają się od Niego. Bo — według nauki św. Pawła — „nie ci, którzy zakonu słuchają, są sprawiedliwieni u Boga, lecz ci, którzy zakon wypełniają, usprawiedliwieni będą” (Rz 2,13). Zaś św. Jakub zachęca: „Bądźcie wykonawcami Słowa, a nie tylko słuchaczami, oszukującymi samych siebie” (Jk 1,22).

Zatem i my chcemy ustawicznie pamiętać o przestrodze Chrystusa, zawartej w słowach: „Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych” (Mt 22,14). Dołóżmy też starań, byśmy wraz z Synem Bożym zasiąść kiedyś mogli do wieczystej ucztę.

Ks. JAN KUCZEK



„Dzieci, bądźcie posłuszne rodzicom waszym w Panu, bo to jest rzecz słuszna. Czcij ojca twego i matkę twoją — jest to pierwsze przykazanie z dołączeniem obietnicy: aby ci się dobrze działo i abyś długo żył na Ziemi” (Wyjśc. XX,12).

Fragm. Lekcji z Listu św. Pawła Ap. do Ef. (6,1-9).

Drugą niedzielę października Kościół Polskokatolicki poświęca chrześcijańskiej rodzinie. W Mszałe Kościoła Polskokatolickiego wśród mszy własnych znajdujemy mszę na święto chrześcijańskiej rodziny, ustanowioną przez synod PNKK.

Podczas mszy św. modlimy się słowami: „Wszchemogący, wieczny Boże, który w Świętej Rodzinie dałeś nam wzór życia rodzinnego, spraw to, prosimy Cię, aby w rodzinach naszego Kościoła panowały niepodzielnie jedność, miłość i pokój...”

Kiedy w lipcu 1960 roku Kościół Polskokatolicki przystąpił do wydawania tygodnika, Jego kierownictwo zdecydowało, że tygodnik ten będzie nosił tytuł „Rodzina”. „Rodzina” stała się periodykiem przeznaczonym dla rodziny polskiej i o rodzinie polskiej, rodzinie chrześcijańskiej.

Należałoby zastanowić się, dlaczego tak wiele uwagi poświęca Kościół rodzinie.

Pod każdą szerokością geograficzną podstawową komórką społeczeństwa jest rodzina, a największym spoiwem rodziny jest miłość. Zwykła, ludzka miłość. Na całym globie ziemskim matka z miłością wyciąga rękę do swego dziecka, żyje często jego życiem. A w doli i niedoli silniejszy jest człowiek w rodzinie, gdy może się podzielić swą radością czy bólem.

Katechizm uczy, że małżeństwo jest to związek dwojga ludzi, którzy żyją wspólnie w miłości i wierności, w celu założenia i wychowania potomstwa oraz niesienia sobie wzajemnej pomocy. Małżeństwo ustanowił sam Bóg po stworzeniu ludzi, gdy wyrzekł do nich: „Rośnijcie i mnożcie się i napełniajcie ziemię” (Rdz. 1,22), a Jezus Chrystus podniósł je do godności sakramentu.

Małżonkom przychodzą na świat dzieci, rodzice pielęgnują swoje pociechy, dzieci rosną. Jeśli atmosfera domowa przeniknięta jest duchem chrześcijańskim, jeśli dzieci widzą, że ojciec i matka świecą im przykładem w całym swoim postępowaniu i w wiernym spełnianiu praktyk religijnych, wówczas dom rodzinny staje się jakby świątynią, pod której sklepieniem młodociane serca wzrastają w miłości Boga i bliźniego, przygotowują

się na ludzi pod każdym względem dobrych i dzielnych. Perswazje, zachęty i nakazy niewiele działają, jeśli rodzice swym postępowaniem zadawac będą kłam własnym słowom. Dobry przykład rodziców winien przy tym być widocznym i stałym, aby dziecko

Rodzinę z Nazaretu. Pod opieką Najśw. Maryi Matki i świętego Józefa wychował się Jezus. W tej Świętej Rodzinie pozostawił nam na wszystkie czasy wzór rodziny prawdziwie chrześcijańskiej. Z tej Rodziny, której członkiem był sam Syn Boży przebijają tak pięk-

Święto chrześcijańskiej rodziny

zżyło się z nim, uważało go za rzecz zupełnie naturalną i nabrało przekonania, że tylko takie a nie inne postępowanie jest właściwe. Dobry przykład rodziców utkwi głęboko w psychice dziecka i skuteczniej niż wszystkie upomnienia pobudzać go będzie do naśladowania.

Rodzice wychowują swoje dzieci, dzieci dorastają, zakładają własne ogniska domowe, rodzice się starzeją.

Rodzice nie zawsze są w stanie przekazać swym dzieciom w spadku dostatek, ale w każdym wypadku, nawet w razie chwilowego niedostatku, mogą zapewnić im dobre, rozumne, religijne wychowanie. Troska o zabezpieczenie bytu rodziny jest w istocie swej moralną troską, a przecież nie ona jest jedyną troską i nie powinna być jedyną. Do tego dochodzą wysiłki o dobro duchowe dzieci, o dobre wychowanie moralne i religijne. Tylko dzieci dobrze wychowane są prawdziwym szczęściem rodziców. Są one dla rodziców, jak powiada Księga Tobiasza: „Światłością oczu naszych, podporą starości naszej, pociechą żywota naszego, nadzieją potomstwa naszego” (Ks.Tob. 10,4).

Przeważnie rodzice czynią wszystko, aby zapewnić i dać dzieciom jak najlepsze wychowanie, wyżywienie i wykształcenie, ale bywa, że dla rodziców na starość nie ma miejsca w domu. To bardzo przykra i bolesna prawda, sprzeczna z przykazaniem „czcij ojca i matkę swoją”.

Należy szanować rodziców, szczególnie na starość, gdy już są niedołężni, często opuszczeni i samotni. Rodzice, którym dobro ich dzieci leżało na sercu i dokładali wszelkich starań i wysiłków, aby pokolenie, któremu dali życie, wyrosło na światłych obywateli, powinni znaleźć rekompensatę w tym, że dzieci pomagają, zadbają o nich na stare lata. A bywa, że niekiedy rodzice na stare lata nie znajdują dla siebie u swoich dzieci kąta, chociaż ich dzieci nierzadko piastują wysoko i odpowiedzialne stanowiska.

W dniu święta chrześcijańskiej rodziny czytamy ewangelię o dwunastoletnim Jezusie, który odłączył się od rodziców i zasiadł między uczonymi.

Wiedzeni naturalnym ziemskim uczuciem rodzicielskim Maryja i święty Józef szukali Jezusa, a znalazłszy Go po ludzku wyrazili swój żal i ból, ale i radość ze znalezienia młodego Jezusa.

Z dzisiejszej ewangelii można wyciągnąć wniosek dla rodziców: strzeżcie swoich dzieci i szukajcie, jeśli się zagubiły, oraz dla dzieci: Jezus był Bogiem, a mimo to na jedno słowo swoich ziemskich rodziców, wraca z nimi i „był im poddany”. Szanujcie swoich rodziców i bądźcie im posłuszni, biorąc wzór z poczynania Jezusa.

Kościół pokazuje nam w ewangelii wspólny wzór do naśladowania — Najświętszą

ne cnoty, które każdą rodzinę i wszystkich jej członków zdobić powinny.

Perykopa kończy się krótkim epilogiem: „I poszedł z nimi do Nazaretu, a był im poddany”. I to nie tylko do osiemnastego czy dwudziestego pierwszego roku życia, lecz jak długo był przy swoich ziemskich Rodzicach, służył Im i dla nich pracował. Oto napomnienie dla naszej uczącej się i dorastającej młodzieży.

Każda więc rodzina, która swoje dzieci chce wychować w duchu i miłości Chrystusowej, musi być odbiciem Świętej Rodziny z Nazaretu.

Bliżej precyzując, co znaczy żyć w rodzinie po chrześcijańsku, musimy stwierdzić: to znaczy wypełniać przykazania Boże, to znaczy, żeby w całym naszym zbiorowym życiu rodzinnym panowała atmosfera religijna — obok modlitwy, dobre uczynki, osiągnięcie postępu w doskonałości.

Czcij ojca twego i matkę swoją... Protestancki publicysta opisywał swego czasu, że podczas jednej z wycieczek znalazł się na cmentarzu. Spotkał tam sędziwego starca, z którym zamienił kilka słów. Starzec twierdził, że cmentarz jest świadectwem tego, czy ludzie w danej miejscowości są dobrzy, czy też źli. Jeśli bowiem groby są utrzymane w porządku i widać na nich opiekę żywych, to znaczy, że ludzie dotąd kochają zmarłych rodziców, a jeśli ktoś kocha matkę i ojca, jest człowiekiem dobrym.

Jest w tej wypowiedzi sporo uproszczenia, ale nie można odmówić racji twierdzeniu, że „jeśli ktoś kocha matkę i ojca, jest człowiekiem dobrym”.

Zobojętnienie młodzieży na losy starych rodziców rośnie z każdym rokiem. Gdyby podjąć logikę starca spotkanego na cmentarzu — konkluduje publicysta — coraz więcej wśród nas jest ludzi złych, gdyż coraz częściej spotyka się zaniedbane, chwastami porośnięte groby ludzi, których dzieci niekiedy mieszkają nawet kilka kroków od cmentarza. Przyczynę tego stanu rzeczy upatruje publicysta w tym, że rodzice bardzo często od dzieciństwa nie wpajają dziecku wdzięczności dla ojca i matki, zgodnie z głoszonym przykazaniem: Czcij ojca twego i matkę swoją.

Stare zanikające już w pamięci ludu przysłowie głosi: — „jeśli jesteś chory, ślepy, głuchy, skrzywdzony, ale masz matkę, to niczego się nie obawiaj”. Pisarz twierdzi, że całe współczesne chrześcijaństwo odpowiedzialne jest za to, aby mogło wejść w życie nowe, aktualne powiedzenie: — „jeżeli będziecie starzy, chorzy i wyczerpani, a dzieci wasze będą żyły, to niczego się obawiać nie potrzebujecie”.

Uroczystości w parafii szczecińskiej

Z miłymi Czytelnikami tygodnika katolickiego „Rodzina” pragnę podzielić się swoimi refleksjami z uroczystości, które odbyły się w szczecińskiej parafii pw. św. Piotra i Pawła.

Uroczystości miały podwójny charakter udzielenia sakramentu bierzmowania dzieciom, młodzieży i osobom dorosłym oraz uroczystość instalacji na urząd dziekana dekanatu szczecińsko-gorzowskiego, ks. proboszcza Stanisława Bosego.

Na uroczystość przybył biskup elekt Wiesław Skołucki, którego przed frontonem zabytkowego kościoła powitał Proboszcz parafii, Rada parafialna, T.N.A.N.S., dzieci, młodzież i ministranci. Biskup elekt odprawił uroczystą sumę pontyfikalną w asyście duchowieństwa, a także, przed udzieleniem sakramentu bierzmowania, wygłosił okolicznościową homilię, nawiązując w niej do istoty i znaczenia w życiu każdego wierzącego sakramentu bierzmowania. Wierni tłumnie przystąpili do Stołu Pańskiego.

Przedpołudniową część uroczystości zakończyło udzielenie sakramentu bierzmowania czterdziestopięciuosobowej grupie dzieci i młodzieży.

W dniu 8 sierpnia br. odbyła się także instalacja ks. proboszcza Stanisława Bosego na urząd dziekana dekanatu szczecińsko-gorzowskiego. Uroczystość ta rozpoczęła się o godz. 18 przy wypełnionym wiernymi kościele. Aktu instalacji dokonał biskup elekt Wiesław Skołucki, a Mszę św. w intencji parafii odprawił ks. proboszcz Stanisław Bosy.

Parafianie, w dowód podziękii za pracę duszpasterską, ufundowali swemu duszpasterzowi gotycki ornat, a Biskup Elekt ofiarował Mszał oprawioną w skórę z piękną dedykacją.

Prośmy Boga, aby miłe chwile, które przeżył ks. Stanisław Bosy, długo pozostały w sercach wiernych szczecińskiej parafii, ku ich pożytkowi doczesnemu i wiecznemu.



Młodzież przygotowuje się do Sakramentu Bierzmowania



Ks. S. B. Uroczysta instalacja ks. dziekana Stanisława Bosego

Powitanie biskupa W. Skołuckiego przez prezesa Rady Parafialnej Józefa Objarza



W 95 rocznicę śmierci Aleksandra P. Borodina

Dane encyklopedyczne:

Rosyjski kompozytor z grupy „Potężnej Gromadki”. Opera „Książę Igor”, symfonie, utwory kamercyjne, fortepianowe, pieśni.

Aleksander Borodin urodził się 31 października (12 listopada według nowego stylu liczenia) 1833 r. Rodzicami jego byli książę Łukasz Stiepanowicz Giedianow i Awdotia Konstantinowna Antonowa. Piękne cechy jego charakteru rozwinęła w nim matka. Był serdeczny i życzliwy wobec wszystkich ludzi. „...bardzo pojętny, zdolny, pilny i odznaczał się niezwykłą cierpliwością”.

Trzy pasje będą podstawą w życiu Aleksandra: chemia, muzyka i szerzenie miłości ewangelicznej. Gra na wielu instrumentach i jednocześnie komponuje. W 1850 r. młody Aleksander zdaje egzamin dojrzałości. Nie mogąc dostać się na uniwersytet (według dokumentów był synem lokaja), wstąpił do Akademii Wojskowo-Medycznej. Studia ukończył w 1856 r. „...W ciągu całych studiów zwracał na siebie szczególną uwagę zarówno dzięki wybitnym zdolnościom, jak i zamiłowaniu do nauki”. Na Akademii wykładał również religię. Uzyskanie niższego stopnia z religii, niż należało, stało się przeszkodą w otrzymaniu złotego medalu. Uczelnię ukończył Borodin z listem pochwalnym.

Jako lekarz wojskowy został skierowany do II Szpitala Wojsk Lądowych. Nie ma jednak zamiłowania do medycyny. Zapoznaje się z Musorgskim. W 1857 r. udał się na kongres oftalmologów do Brukseli. W Kolonii podziwiał katedrę. „Nic podobnego do katedry nie widziałem. Co za ogrom! Wrażenie silne, kolosalne, wręcz mistyczne”. W 1858 r. broni pracę doktorską i poświęca się całkowicie chemii. Prowadził wykłady ze studentami.

Instytut Młodych Lekarzy przyznał Borodinowi stypendium zagraniczne na dwa lata. Wyruszył do Heidelbergu. Uczestniczył w zajęciach chemicznych w laboratoriach i różnych naukowych zjazdach, nie zapominając jednak o muzyce. Przebywając w Paryżu pisał do Mendelejewa: „A ja, bracie, żywo wspominam Heidelberg i nasze koleżeńskie stosunki. Daj mi, Boże, jeszcze kiedyś w przyszłości wrócić do tych czasów”. W Heidelbergu zapoznał się z Katarzyną Siergiejewną Protopopową, przyszłą swoją żoną. Kiedy zaczęła chorować i dostała krwotoku z gardła, zdecydował wyjechać razem do Włoch. Zamieszkali w Pizie. Leczenie nie przeskądzało pracować naukowo Borodinowi oraz poświęcać się, razem z Katarzyną, muzyce. Mogli tam korzystać z organów kościelnych. Katarzyna wspomina: „Graliśmy tam Bacha, Beethovena. Pamiętam zwłaszcza, jak usa-

tysfakcjonowała słuchaczy, gdy podczas Offertorium odegrałam „Teraz, siły niebios” Bortiańskiego”.

W dniu 8 grudnia 1862 r. został mianowany profesorem — adiutantem. Wykładał chemię organiczną w katedrze profesora Znnina. Przed ślubem pisał do narzeczonej: „... trwoży mnie cała procedura zaślubin. Okropnie chciałbym mieć to już tak najprędzej za sobą. Doprawdy, jest w tym wszystkim coś trywialnego, sztucznego. I w ogóle być narzeczoną jest jakoś głupio i niezręcznie, zwłaszcza tuż przed ślubem. Ani trochę nie wydaje mi się jednak dziwne, że będziesz moją żoną, że będziemy żyć blisko we dwoje, to bardzo naturalne...” Ślub zawarto 17 kwietnia 1863 r. w Petersburgu. Profesorem zwyczajnym przy katedrze chemii został mianowany 21 kwietnia 1864 r. Klimat Petersburga nie sprzyjał zdrowiu Katii. Chora na astmę, szukała łagodniejszego klimatu w Moskwie. Często Borodin napominał w listach żonę, żeby prowadziła racjonalniejszy tryb życia. Troszczył się o jej oczka. Zakazuje pisanie listów po nocach. Listy jego są przepełnione troskliwością i miłością do żony. „...żegnaj, moja ukochana, całuję Twoje biedne oczki, Śpij z Bogiem, duszko”.

Borodin należał do tzw. „Potężnej Gromadki”, która skupiała pięciu kompozytorów rosyjskich. Oprócz niego należeli do niej Bałakiriew, Gui, Musorgski i Rimski-Korsakow. Muzykę rosyjską zreformowali opierając się na oczystym, ludowym nurcie. Rozpadnięcie się gromadki przedstawia w liście do śpiewaczki Karmaliny: „Z jednego wyrasta czupurny czarny kogut, a z drugiego łagodna biała kura. Wspólna struktura muzyczna, wspólny styl właściwy kółku pozostały, tak jak pozostają widoczne właściwości kurzej rodziny, ale każdy z nas, jak dorosły kogut

dokończenie na s. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (677)

W opracowaniu bpa M. Rodego

M

Movers Franciszek — (ur. 1806, zm. 1856) — niemiecki ks. rzymskokatol., wybitny filolog orientalista, autor wśród innych przede wszystkim cennego dzieła pt. *Kritische Untersuchungen über die biblische Chronik* (1839), czyli *Krytyczne badania biblijnej chronologii*.

Mozaizm — → judaizm.

Mozzi de Capitani Ludwik — (ur. 1746, zm. 1813) — to włoski jezuita, ks., autor wielu ciekawych prac teologicznych o charakterze dyskusyjno-polemicznym, spośród których tu należy wymienić następujące: *Lettera confidenziale di un Teologo ad un Teologo* (1778), czyli *Listy poufne jednego teologa do drugiego teologa*; *Vera idea del Giansenismo* (1781), czyli *Prawdziwe pojęcie jansenizmu*; *Storia delle rivoluzioni della Chiesa d'Utrecht* (1787), czyli *Historia rewolucji Kościoła w Utrechcie*; *Voltaire, Alembert e Diderot* (1790), czyli *Volter, Alembert i Diderot*.

Mozzolino (albo Mazolini) Sylwester — (ur. ? r., zm. 1523) — włoski dominikanin, teolog, autor szeregu prac, w których głównie występuje jako jeden z pierwszych liczących się teologów katolickich przeciw Marcinowi Lutrowi i jego poglądom reformatorskim. Spośród wielu jego prac tu trzeba wymienić następujące: *In praesumptuosas M. Lutheri conclusiones de Papa dialogus*, czyli *Rozprawa na temat butnych stwierdzeń M. Lutra o Papieżu*; *Errata et argumenta M. Lutheri, replica ad M.L.*, czyli *Replika na błędy i dowodzenia M. Lutra*; *De iuridica et irrefragibili veritate Romanae Ecclesiae romanique Pontificis* (1520), czyli *O prawnej i niezbitnej prawdziwej Kościoła Rzymskiego i rzymskiego Papieża*; *Apologia de convenientia institutorum Ecclesiae Romanae cum evangelica libertate* (1525), czyli *O zgodności instytucji Kościoła Rzymskiego z ewangelijną wolnością*;

można też nadto wymienić wcześniej napisaną pracę pt. *Super Evangelia totius anni Expositio seu Rosa aurea* (1500), czyli *Wykład Ewangelii całego roku, albo Złota róża*.

Möller Jan — (ur. 1806, zm. 1862) — historyk kościelny, profesor uniwersytetu w Lowanium, autor m.in. dzieła pt. *Histoire du moyenâge depuis la chute de l'empereur d'Occident jusqu'à la mort de Charlemagne* (1837), czyli *Historia średniowiecza od upadku cesarza Zachodu aż do śmierci Karola Wielkiego*; *Cours complet d'histoire universelle...* (1849-50; 5 tomów), oraz to samo dzieło po niemiecku pt. *Weltgeschichte vom christlichen Standpunkte* (1862; ukazał się tylko 1 tom), czyli *Dzieje świata opracowane w świetle nauki chrześcijańskiej*.

Mrongowiusz Krzysztof Celestyn — (ur. 1764, zm. 1855) — to polski wybitny i zasłużony duchowny ewangelicki, autor szeregu cennych prac specjalistycznych, był bowiem poza teologiem również leksykografem i gramatykiem j. polskiego, oraz tłumaczem klasyków greckich na j. polski. Poza jego autorstwa wielu popularnymi elementarnymi podręcznikami j. polskiego i słownikami, oraz tłumaczeniami niektórych dzieł klasyków greckich, np. Homera, Platona, Ksenofonta, jako też innymi jego publikacjami — tu należy wymienić przede wszystkim książkę, która jest jakby stenogramem wykładów Im. Kanta, których to wykładów na temat naturalnej teologii i moralności Mrongowiusz słuchał, a książkę tę dał następujący tytuł: *Rozprawa filozoficzna o religii i moralności* (1854); jest też autorem licznych kazań, które ukazały się w dwóch zbiorach pt.: *Rocznik kazań chrześcijańskich* (1802), oraz *Postylla kościelana i domowa* (dwie części; 1834—35).

Mrowiński Walerian — (ur. 1832, zm. 1910) — po studiach, służbie wojskowej i wykonaniu już różnych ważnych

czy kura, ma swój własny osobisty charakter, swoją indywidualność. I chwala Bogu za to!..”

Borodin latami tworzył operę „Kniaź Igor”. W 1881 r. powstała aria Igora „Ni snu, ni odpoczynku”. Opera, choć zabrała Borodinowi 18 lat życia, nie została przez niego skończona. Zawsze coś stało na przeszkodzie. Choroba żony, a również — jak pisze Rimski-Korsakow w swej „Kronice” — „jego nieograniczona dobroć i altruizm uczyniły to zadanie niewykonalnym”.

Stwierdza, że się starzeje. Nie uzala się jednak nad sobą. „Rozumie się, że bezlitosny czas, który kładzie swoją rękę na wszystko, położył ją i na mnie. Broda i wąsy po trochu siwieją, doświadczeń życiowych przybywa, a włosów na głowie ubywa. Prawda że ja, jako człowiek żywy z natury i rozrzepany, prawie nie dostrzegam zmian w sobie. Dzięki Bogu jestem zdrow, rześki, czynny i wytrwały jak dawniej. Mogę przetańczyć całą noc lub przepracować bez odpoczynku całą dobę, zapominając nawet o obiedzie...” Był wielkim altruistą. Dobro innych miało większą wartość niż jego własne. Piękne świadectwo daje o nim kompozytor Michał Ippolitow-Iwanow: „... tracił siły ratując to jednego to drugiego, biegając po poczekalniach urzędowych osobistości, okazując niezwykle upór i cierpliwość. Pewnej letowej nocy już po drugiej rozlega się w mieszkaniu Ilińskich dzwonek, pojawia się Aleksander Porfiriewicz, zaśnięzony i zmarznięty na kość. Okazało się, że od ósmej wieczór nie wysiadał z dorozki poszukując kogoś z aresztowanych. A wszystko to robił nie dla jakiejś pozy, lecz kierując się czystym uczuciem miłości do człowieka i ojcowskim stosunkiem do młodzieży”. Również Lubow Sołowcowa komentując II kwartet smyczkowy: „W muzyce Borodina od-

najdujemy często nastroje związane z kontemplacją piękna; stanowi ona wyraz umiłowania przyrody, promiennej radości istnienia. Borodin kochał życie, kochał ludzi, współczuł ich troskom. Najwyższej próby humanizm, jaki przynika całą twórczość Borodina, przydaje specyficzny urok jego liryce. Urokiem tym syci się także muzyka II kwartetu. Chyba w żadnym z utworów Borodina nie znajdujemy takiej obfitości stronicy przesyconych głęboką serdecznością, takiego bogactwa i piękna melodyjki.”

Na temat małżeństwa i rodziny snuł ciekawe myśli, przekazując je żonie: „... jeśli patrzeć na związek małżeński wyłącznie z punktu widzenia rozsądku, to nie znajdziesz ani jednego małżeństwa, które by było rozsądne pod każdym względem. Małżeństwo i rodzina są tak marnie urządzone, że zawsze więcej znajduje się w nich kołców niż róż. Gdy widzę ludzi mających zawrzeć małżeństwo, zawsze odczuwam lęk o nich. Rodzina i związek małżeński zakładają zawsze pewne wyrzeczenie, utratę swobody, poza brzemieniem trosk nic szczególnego radosnego z sobą nie przynoszą. Jest to zło wynikające z natury człowieka i jego nieumiejętności urządzenia się inaczej. Któres z dwojga, mąż lub żona, a częściej oboje, stają się ofiarami owej niedorzecznej sytuacji... Ale to stara piosenka”.

Borodinowie nie mieli swoich dzieci. Na wychowanie wzięli Lizę Bałaniewą, córkę pewnej biednej kobiety. Kiedy nastąpiła rozłaka z powodu choroby żony, Liża została umieszczona w instytucji, gdzie odwiedzał ją Borodin w niedzielę. „Wychodzi do mnie z promienną miną. Od razu zorientowałem się o co chodzi, dostrzegłszy na jej lewym ramieniu czerwoną kokardę — wyróżnienie za postępy. Przyznam się, że w tym momencie drgnęło moje ojcowskie serce, a oczy — wstyd się przyznać — poczerwieniały mi jak przy ka-

tarze. Pojutrze zabiorę dziecko do domu... Chciałbym ją gdzieś zabrać — do teatru czy może do cyrku...”. Później wychowywali Borodinowie jeszcze inne dziewczynki. Każdego rozpatrywał, czy jest „przede wszystkim człowiekiem”.

Borodin jest zmęczony życiem. „Wciąż marzę o lecie, o letnisku, o życiu na wsi, czerwonej koszuli, kąpielach, swobodzie! Boże, takie skromne marzenia, a przecież i te nie zawsze udaje się zrealizować. A czas leci i leci, nie zatrzymując się ani na chwilę. Oto kończy się już trzydziesty rok mojej pracy, to nie żarty!”

15 lutego 1887 r. Borodin zakończył życie. M. Dobrosławina opisuje, że „...po rozpoczęciu zabawy Borodin zatańczył nie pamiętam już z kim, walca, a potem zbliżył się do mnie. Staliśmy i rozmawialiśmy, gdy do pokoju wszedł profesor Paszutin i przywitał się z nami. Wracał z jakiegoś proszonego obiadu i miał na sobie frak. Borodin poprosił go, czemu się tak wystróżił. Powiedziała na to, że ze wszystkich rodzajów męskiego ubrania najbardziej lubię frak: każdemu jest w nim dobrze i każdy w nim elegancko wygląda. Borodin oświadczył ze swoją zwykłą żartobliwą uprzejmością, że skoro tak lubię frak, to żeby mi się spodobać, zawsze mnie będzie odwiedzał we fraku.

Ostatnie słowa wymówił rozciągając sylaby i jak gdyby płaczącym się językiem. Zauważyłem, że chwiał się na nogach. Przyjrzałam mu się uważnie i nigdy nie zapomnę jego spojrzenia — bezradnego — żalostnego i pełnego lęku... upadł na podłogę...” Proces sklerotyczny zniszczył arterie wieńcowe serca. Katia przeżyła męża o kilka miesięcy.

23 października 1880 roku w Petersburgu w Teatrze Maryjskim odbyło się prawykonanie opery „Kniaź Igor”.

Ks. BOGUSŁAW WOLYŃSKI

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (678)

funkcji i stanowisk, mając lat 35 wstąpił do zakonu Jezuitów, a w 1870 roku przyjął święcenia kapłańskie. Jest autorem szeregu prac głównie o charakterze popularnym i dewocyjnym, tu jednak należy wymienić jego *Nauki o Mszy św. z przykładami* (1885), oraz *Zycie Pana naszego Jezusa Chrystusa* (1899).

Msza św. — to → Nowego Testamentu (→ Biblia) ustanowiona przez → Jezusa Chrystusa w czasie → Ostatniej Wieczerzy w → Wielki Czwartek w sposób bezkrwawy, a nazajutrz w → Wielki Piątek w sposób krwawy przez swoją dobrowolną śmierć na krzyżu i sprawowana następnie według ustalonego → rytu przez apostołów, a potem i wspólnie przez legalnie ustanawianych biskupów i kapłanów, a będzie ona sprawowana aż do skończenia tego świata. Istotne teksty nowotestamentowe dotyczące zbawczej ofiary Jezusa Chrystusa, które następnie stały się i są najważniejszymi słowami właśnie we Mszy św., zapisali trzej ewangelisci, a również św. Paweł. Sw. Mateusz pisze: „A gdy oni (tj. apostołowie, zgromadzeni razem z Jezusem w wieczerzku w Wielki Czwartek. n.) jedli, wziął Jezus chleb i, odmówiwszy błogosławieństwo, połamał i dał uczniom, mówiąc: „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje”. Następnie wziął kielich, i odmówiwszy dziękczynienie, dał im, mówiąc: „Pijcie z niego wszyscy; bo to jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów” (Mt. XXVI, 26 — 28; podobnie pisze św. Marek XIV, 22 — 24). Św. Łukasz dodaje jeszcze następujące słowa Jezusa: „to czyńcie na moją pamiątkę” (Łk. XXII, 19). A św. Paweł w I Liście do Koryntian tak napisał: „Ja bowiem otrzymałem od Pana to, co wam przekazałem, że Pan Jezus tej nocy, kiedy został wydany, wziął chleb i dzięki uczyniwszy połamał i rzekł: „To jest Ciało moje za was (wydane). Czyńcie to na moją pamiątkę”. Podobnie skoń-

czywszy wieczerzę, wziął kielich, mówiąc: „Ten kielich jest Nowym Przymierzem we Krwi mojej. Czyńcie to, ile razy pić będziecie, na moją pamiątkę”. Ilekroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie, aż przyjdzie”. „Dlatego też kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niezgodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej” (I Kor. XI, 23 — 27). W Kościołach: prawosławnych, starokatolickich i rzymskokatolickim — słowa te nie tylko w ich substancji są też we Mszy św. słowami istotnymi, ale z wiarą i czcią przyjmuje się, iż po wypowiedzeniu przez legalnie i ważne wyświęconego kapłana, czy konsekrowanego biskupa słów w stosunku do trzymanej hostii: To jest ciało Moje, a w stosunku do trzymanego kielicha z winem: To jest Krew Moja...istota chleba i wina zmienia się w Ciało i Krew Jezusa, i staje się obecny, chociaż w sposób fizyczny nie mogący być którymkolwiek z naszych zmysłów dostrzeżony, w sposób realny, istotowy, chociaż mistyczny, Jezus Chrystus, Bóg — Człowiek. Msza św. jest najświętszą przeto i najczcigodniejszą ofiarą, bo Jej wieczystym jest Ofiarnikiem i zarazem Ofiarą w sposób realny, chociaż cudowny, jest sam Jezus Chrystus, kapłan zaś czy biskup jest tu tylko tym, który mocą swoich legalnych i ważnych święceń, czy sakry, staje się działającym sługą Jezusa i Jego pośrednikiem w Jej ziemskim sprawowaniu i, dodajmy — w szafowaniu innych — sakramentów również. Ze względu zaś na najwyższą tu na Ziemi godność, wielkość i świętość Mszy św. oraz na płynące z Niej łaski na Kościół, ludzi, każdy chrześcijanin-katolik zobowiązany jest czynnie i świadomie w Niej uczestniczyć przynajmniej w niedziele i święta. Msza św. jest jednocześnie publicznym kultem, składanym przez Kościół jednemu i jednemu Bogu w trzech Osobach (→ Trójca św.).

Mszę św. Kościoły chrześcijańskie-katolickie dzielą na kilka części składowych, przy czym jedne są bardziej, dru-

Barwy, obok godła i hymnu, są drugim co do ważności symbolem narodowym. Każdy Polak wie, że nasze barwy narodowe to biel i czerwień, jednak nie każdy zastanawiał się, dlaczego właśnie takie kolory zostały obrane i oficjalnie uznane oraz jakie przemiany towarzyszyły ich powstaniu.

Już od czasu imperium rzymskiego każdy cesarz posiadał swoją chorągiew, tzw. labarum. Zwykle była to purpurowa płachta wyszywana złotem, symbolizująca władzę cesarską. Purpura stanowiła wówczas odcień uprzywilejowany z racji tego, że przysługiwała tylko cesarzom i wysokim osobistościom. Dlatego właśnie uważana była za barwę najdoszajniejszą.

W pierwszej połowie XII w. na zachodzie Europy zaczęły się pojawiać herby, czyli określone znaki osób, rodzin, państw. Już od tego czasu zwracano szczególną uwagę na układ barw i ich harmonijność. Dopuszczano barwy intensywne, czyste, a wśród nich kolor czerwony, niebieski, zielony i czarny. Uprzywilejowana tym razem była również czerwień (najczęściej używana), gdyż odbijała się od innych. Każdy kolor posiadał swoją symbolikę. I tak np. złoto oznaczało światło i szlachetność, czerwień — ogień, odwagę i wolność.

Obecna polska flaga narodowa — pas biały i czerwony, ułożone równolegle — wywodzi się od piastowskich barw godła państwowego, czyli białego orła w czerwonym polu. Odcień czerwieni był bardzo popularny w Polsce, musiał być intensywny, oddawać czystą barwę, a związane to było z łatwością uzyskiwania go. W XII wieku bowiem, czerwień uzyskiwano z popularnego wówczas barwnika pochodzącego z wysuszonej poczwarki owada zwanego czerwcem. Już wtedy, pojawiające się białoczerwone chorągwie z orłem umieszczonym na środku pola, stanowiły znak łączący Polaków, jedność wszystkich ziem i miały znaczenie moralne. Gdy podczas bitwy chorągiew upadała, natychmiast podnoszono ją i walczono z jeszcze większą zaciekleścią. Chorągiew była zawsze symbolem honoru i męstwa, a jej utrata ścierała na wojsko hańbę.

W dziejach państwa pierwszych Jagiellonów dwubarwna, biało-czerwona chorągiew, towarzyszyła wszystkim ważniejszym wydarzeniom państwowym. Wznoszono ją na pogrzebie Jagielli w 1434 r., pod jej znakiem synowie Jagielli przyjmowali koronę polską, wiodła Polaków w wojnie trzynastoletniej z Krzyżakami, stanowiąc przez cały czas symbol jedności państwa, reprezentując króla i wszystkie podległe mu ziemie. Na białym orle w czerwonym polu przysięgali wiary królowi polskiemu książęta lenni, wojska polskie walczyły ze Szwedami. Chorągiew biało-czerwona była jedynym znakiem wyróżniającym polskie oddziały i należała się jej cześć i honor.

Wiek XVI, okres polskiej unii z Litwą, utrwalił układ barw na chorągwiach Polski. Od tego czasu, najczęściej w czerwonym polu podzielonym na cztery części, znajdowały się dwa wizerunki białego orła i dwa pogoni litewskiej. Chorągiew, chociaż stopniowo zmieniała swój wygląd, zawsze składała się z tych samych barw.

Za czasów Władysława IV posiadała cztery pasy (dwa białe i dwa czerwone umieszczone naprzemiennie), pośrodku których znajdowała się tarcza herbowa. Barwy biało-czerwone, nawiązujące do koloru orła i pogoni, na stałe towarzyszyły już polskim cho-

ragwiom, chociaż ciągle jeszcze zmieniały swój układ.

Początek XVII w. przynosi nowy odcień czerwieni. Jest to barwa intensywniejsza karmazynowa, jednak zawsze występująca w połączeniu z bielą. Uzyskanie nowego odcienia związane było z techniką farbowania tkanin (barwnik nadal otrzymywano z owadów czerwców). Karmazyn stał się najpopularniejszym odcieniem czerwieni; uważany był za najznakomitszą, uprzywilejowaną barwę.

Jednak do XVIII w. barwy biało-czerwone nie były jeszcze oficjalnie uznawane za barwy narodowe.

POLSKIE BARWY



Chorągiew polska z 1942 roku

Już na początku XIX w. karmazyn ustąpił miejsca nowej barwie czerwieni — amarantowi. Stało się tak dlatego, że przy produkcji tkanin na szeroką skalę używano tym razem jako barwnika poczwarki czerwca pochodzące z Meksyku. Modny ten kolor pojawił się najpierw we Francji, a następnie



Władysław IV Waza (1595—1648)

przyjął się w Polsce. Wówczas to, na płachcie amarantowego koloru, umieszczany był biały orzeł z sukna lub haftowany jedwabiem, któremu towarzyszyły napisy z nazwą i numerem pułku.

Sprawa oficjalnego przyjęcia barw biało-czerwonych jako symbolu narodowego państwa polskiego doczekała się uznania dopiero 28 stycznia 1831 r., kiedy to zebrał się sejm i poseł Walenty Zwierkowski złożył wniosek o uznanie bieli i czerwieni za barwy narodowe. Poseł uzasadnił swój wniosek tym, iż orzeł biały w polu czerwonym od początku swego istnienia był symbolem odradzającej się ojczyzny. Uchwała zapadła 7 lutego 1831 r. — za barwę narodową uznano kolor biały i czerwony, czyli kolory Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był to więc pierwszy akt ustanowiony przez naród, a dotyczący polskich barw narodowych, które od tej pory pojawiały się na chorągwiach, odznakach i zostały przyjęte przez polską banderę oraz wojsko.

Prawo Polaków do godła i barw, po upadku powstania listopadowego, na długo zostało odebrane narodowi. Jednak wszędzie tam, gdzie pojawił się żołnierz polski, noszona przez niego biało-czerwona kokarda, stanowiła wyzwanie rzucone zaborcom i zagrzewała ich do walki o wolną Polskę. W dwóch zaborach (ruskim i pruskim) tępieno i zakazywano używania polskich symboli narodowych, lecz fakt ten ożywił tylko działalność spiskową. Stanowił bunt i sprzeciw Polaków przeciw zaborcom. Jedynie w zaborze austriackim nie stosowano tak ostrych represji. Wkrótce jednak, bo tuż przed wybuchem I wojny światowej, państwa zaborcze, chcąc mieć za sobą przychylną postawę Polaków, zmniejszyły prześladowanie polskich symboli narodowych. Zezwalano na używanie barw biało-czerwonych, pod przewodnictwem których odbywały się uroczystości narodowe. Do takich okazji należał np. maj 1916 r., kiedy ludność Warszawy mogła publicznie manifestować 125 rocznicę uchwalenia Konstytucji.

Po zakończeniu I wojny światowej, na sejmie, w dniu 1 sierpnia 1919 r., ponownie podniesiono sprawę godła i barw Rzeczypospolitej. Wydany dekret głosił, iż obowiązywać ma kolor biały i czerwony, ułożony w podłużnych pasach równoległych. Decyzja taka przetrwała do 1927 r., gdy 13 grudnia zmieniony został odcień czerwieni — tym razem odpowiadając on miał barwie cynobru i towarzyszyć wszystkim świętom narodowym i państwowym.

Pod takimi właśnie biało-czerwonymi barwami walczyli Polacy w kraju i na wielu frontach II wojny światowej. Stanowiły one wówczas symbol niezłomności narodu, jego hartu ducha, były znakiem bojowym walczącej ojczyzny, i chociaż za ich przechowywanie groziła śmierć — poświęcano im życie.

Ostatecznie kwestia barw polskich została ustalona 7 grudnia 1955 r. Dekret regulujący ją ustalił, że barwami PRL są kolor biały i czerwony w dwóch równoległych pasach o równej szerokości i długości, przy czym górny pas jest biały, dolny natomiast czerwony — odpowiadający barwie cynobru.

Flaga biało-czerwona jest dziś w powszednim użyciu, towarzyszy każdej ważniejszej okazji i świętu narodowemu, zdobiąc ulice, domy, fabryki, szkoły. Reprezentuje Polskę i jej naród na wszystkich kontynentach świata. W dzisiejszych czasach barwy narodowe są nieodłącznym elementem codziennego życia, symbolem naszego państwa. Chociaż ukształtowanie się ich trwało kilka wieków, jednak barwy w obecnej formie, które wyrosły z piastowskiego znaku herbowego, zostały zachowane.



LUDOWE POCZUCIE PIĘKNA

Z przyjemnością oglądamy występy Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” czy „Śląsk”, słuchamy melodyjnych, łatwo wpadających w ucho pieśni, podziwiamy przepych ludowych strojów i ich tęcza kolorystykę. Barwne stroje ludowe rozkwitają na scenie jak kwiaty. Ileż w nich naturalnego czaru...

Do najpiękniejszych dziedzin sztuki ludowej, regionalnej, należą — niewątpliwie — stroje. Ich barwność, różnorodność i pomysłowość do dziś zachwycają nie tylko znawców, niejako koneserów folkloru. Wystarczy chociażby przyrzeć się współczesnej modzie — jej projektanci od dobrych kilku lat czerpią wzory właśnie ze strojów ludowych.

W Polsce istnieje kilkanaście tzw. regionów kultury ludowej. Niekiedy nawet poszczególne miasta czy wioski mają swój odmienny folklor — odmienny strój ludowy.

Najbogatszy rozkwit przeżywał polski strój ludowy od początku XIX wieku. Przy jego schyłku i już na początku XX wieku powoli zanikał, co wiązało się ze wzrostem uprzemysłowienia kraju. Sprawa zupełnie oczywista jest, że w naszych czasach materiały wyrabiane fabrycznie wyparły samodziąły, a chemiczne barwniki spowodowały zanik umiejętności stosowania barwników naturalnych. Jednakże zachowały się jeszcze tradycje stroju ludowego, zwłaszcza na Podhalu, w Łowickiem, Opoczyńskiem i Sieradzkim. Ogromną rolę w podtrzymywaniu, niejako kultywowaniu stroju ludowego, odgrywa „Cepelia”. Obiektywnie biorąc, Cepelia spełnia wobec folkloru tę samą funkcję, co muzea etnograficzne i skanseny, a więc — ocala od zapomnienia. O ile muzea etnograficzne i skanseny pragną zachować dla potomności materialny kształt tego, co niegdyś wytwarzano, o tyle Cepelia pragnie ocalić od zapomnienia sposób, w jaki wytwarzano, manualną zdatność i kunszt. Jest przy tym czujnym strażnikiem regionalnych tradycji.

Różnorodny jest strój ludowy — tak jak różna była gleba, na której rosły i żyły poszczególne grupy plemienne. Ale niezależnie od regionu łączy go jedna wspólna cecha: był mianowicie dziedziną, w której od pokoleń — najbujniej, najbarwniej i najpowszechniej — realizowało się ludowe poczucie piękna. I nie tylko to: także poczucie etnicznej i narodowej odrębności.

Najbardziej popularny na Mazowszu jest strój łowicki. W dawnym kobiecym stroju łowickim wyraźna była przewaga koloru czerwonego, a obok niego barwne paski na spódnicy. Szurowane satynowe gorsciki miały kolor czerwony. Białe koszule wyszywane były w drobny wzór roślinny. Z czasem zdecydowaną czerwień spódnicy i zapasek zastąpił kolor oranżowy, a następnie barwy tęcze, od jasnej zieleni do fioleto. Gorsciki zaczęto zdobić paciorkami, a koszule haftem. Mniejszym zmianom uległ strój męski. Bardziej

kolorowy stał się pasek przewiązujący sukmany i kaftany oraz pojawiły się aksamitne zarękawki.

Jeśli prawdą jest powiedzenie: „styl — to człowiek” oraz pogląd, że dzieło sztuki zdradza indywidualność twórcy, to prawdziwy jest także wniosek, że strój ludowy — ten specyficzny przejaw samorodnej twórczości artystycznej — jest w jakimś sensie odbiciem psychiki mieszkańców danego regionu, świadectwem o ludziach i miejscu. Weźmy, na przykład, regionalny strój góralski, strój męski z okolic Zakopanego w Polsce: czarny kapelusz z orlim piórem, białe, przecięte krechę czarnego lampasa sukienne spodnie, ciasno opinające łydkę i tworzące — wraz z lekkim, przymocowanym do kostek obuwiem — formę nieodparcie kojarzącą się z gotowością tych nóg do skoku, biegu czy wspinaczki. Biała, zawadiacko zarzucona na ramiona peleryna, zwana „cuchą”, falująca w ruchu, jak ptasie skrzydła, nabijany mosiężnymi ćwiekami skórzany pas, błyszczący — tak szeroki, że opina pierś jak pancerz. Dodajmy do tego nieodłączną „ciupagę” — ozdobną siekierkę na długim styliszczu, by — nie wiedząc o tym, że Zakopane leży o podnóża Tatr — odgadnąć góralską proveniencję tego ubioru, odczuć zuchwałą, drapieżną i twardą naturę ludzi, kształtowaną przez dziką, groźną, nieujarzmioną przyrodę.

Właśnie ten wyczuwalny związek stroju z charakterem ludzi i ziemi zdecydował o tym, że strój ludowy stał się na równych prawach z językiem, pieśnią, obrzędami — nierozzerwalnym składnikiem pojęcia „ojczyzna”. Świadczy o tym szczególny sentyment, jakim darzą tradycyjny ubiór swoich przodków emigranci, a także eksponowana rola, jaką wyznaczają mu w swojej działalności kulturalnej te środowiska emigracyjne, które chcą ustrzec siebie i swoje dzieci przed wynarodowieniem. Można to zjawisko obserwować na przykładzie wielu grup narodowościowych, ale chyba najbardziej na przykładzie Polonii. Wszędzie tam, za granicą, gdzie działają związki Polaków, obecny jest strój ludowy. Strój oderwany często od swego ściśle regionalnego podłoża, podniesiony do rangi symbolu.

Najpiękniejszym bodajże i najbogatszym w odmiany jest strój krakowski. Charakteryzują go aksamitne gorsciki wyszywane paciorkami i cekinami, z pękami wstążek u ramion, sznury korali i różnokolorowe spódnice, często czerwone, naszywane poziomo kolorowymi wstążkami. W męskim ubiorze zaś najbardziej reprezentatywne są białe sukmany, zwane „kościuszkowskimi”. Kraków był niegdyś stolicą całego kraju i w Krakowie właśnie, w dramatycznym dla Polski momencie, nasz bohater naradowy, Tadeusz Kościuszko, ten strój przywdział na siebie, składając społeczeństwu przysięgę. Stąd też strój krakowski urosł do rangi symbolu. Jest on zresztą tak piękny, że trudno mu odmówić prawa do zajmowania pierwszego miejsca.

Polacy kochają swą ludową kulturę nie tylko z racji jej piękna czy bogactwa. Rzecz w tym, że folklor był przez 150 lat niewoli jak-



by naczyń, w którym — niczym zarzewie w garnku — chroniło się poczucie narodowej odrębności. Naród polski, pozbawiony przez półtora wieku własnego państwa, podzielony między trzech zaborców, poddany totalnemu wynaradawianiu, zachował nienaruszoną świadomość narodową, ponieważ instynktownie i wytrwale przeciwstawiał zabiegom rusyfikacyjnym i germanizacyjnym własny obyczaj, pieśń, obrzędowość, strój. Im bardziej nasilał się ucisk, tym uporczywiej trzymano się tej taktyki. W rezultacie — ludowe tradycje w Polsce „yskały trwałość, siłę, nośność emocjonalną, rzadko gdzie indziej spotykana. Tak więc ten instynktownie wyczuwalny związek między treścią pojęcia „ojczyzna”, a formą tradycyjnego stroju, jest generalnie uzasadniony historycznie.

Obserwuje się obecnie w większości krajów świata zjawisko obumierania folkloru, wypierania go przez zunifikowane formy właściwe cywilizacji przemysłowej. Nie dotyczy to jednak Polski. W naszym kraju bowiem kładzie się silny nacisk na rozwój twórczości

ludowej i artystycznej, a także na tak zwaną transmisję folkloru we współczesność. Sztuka ludowa i rzemiosło artystyczne, które możemy podziwiać w galeriach, w sklepach „Cepelii”, kupować do naszych mieszkań, choć oparte wiernie na tradycyjnych ludowych wzorach i tradycyjnie ukształtowanym poczuciu piękna, pasują do współczesnego życia i do nas.

Istnieją jeszcze w Polsce regiony, gdzie tradycyjny strój ludowy zachował swą dawniejszą funkcję popularnego, odświętnego ubioru. W tych regionach zobaczyć można spódnice ukwiecone jak łąka, pasiaste jak tęcza, utkane śniegowymi gwiazdami, a kubraczki bądź serdaki haftowane roślinnymi ornamentami. Nie ulega wątpliwości, że natura, jej barwy i kształty inspirowały ręce ludzkie, które tkąły, haftowały, dziergały i szyły to wszystko, co składa się na miano stroju ludowego.

MALGORZATA KAPIŃSKA

Sztuce jaskiniowej na ratunek

Gdy w połowie ubiegłego stulecia w Europie coraz szerzej poczęły rozchodzić się wieści o malowidłach i rytach odnajdowanych przypadkowo na ścianach grot i jaskiń — początkowo nie traktowano ich poważnie, a tym bardziej nie przypisywano im działalności „człowieka przedpotopowego”. Dopiero odkrycie malowideł w jaskini Altamira w Górach Kantabryjskich przez hiszpańskiego historyka Marcelino Sanz de Sautuola w 1879 r. przełamało — choć nie od razu — mur lekceważenia i nieufności. Utrwalone przy pomocy barwników mineralnych wyobrażenia przeszło 150 prehistorycznych zwierząt — bizonów, bawołów, jeleni, koni, dzików — wzbudziły początkowo sceptycyzm w kręgach fachowców, niektórzy twierdzili nawet, że odkrywca sam wykonał naskalne malowidła. Autentyczność ich uznano bezspornie dopiero na początku naszego stulecia, później zaś przy pomocy nowoczesnych metod stwierdzono, że powstały 13 540 lat p.n.e.

Szybko wzrastające zainteresowanie sztuką jaskiniową sprawiło, że na obszarze Europy południowo-zachodniej (Francja i Hiszpania) tylko do 1927 r. odkryto wiele grot i jaskiń zdobionych naskalnymi rytami i malowidłami, objętymi wspólnym mianem sztuki franko-kantabryjskiej. Zanim zamariała przed 10—12 tys. lat, sztuka ta rozwijała się przez tysiąclecia, zachowując przy tym niezwykłą spójność i ciągłość, a zmieniając jedynie techniki twórcze i style. Hiszpańska Altamira — zwana „Kaplicą Sykstyńską epoki kamienia” — jest wraz z francuską jaskinią Lascaux najważniejszym i najpiękniejszym przykładem sztuki stworzonej przez myśliwych z czasów paleolitu (starszej epoki kamienia).

Zwłaszcza po ostatniej wojnie Altamira stała się miejscem pielgrzymek miłośników sztuki prehistorycznej i świetnym magnesem dla turystów — jedynie w 1975 r. zwiedziło ją 145 tys. osób, tj. ok. 1500 dziennie. Jednakże już na początku lat siedemdziesiątych fotograf F. Santamati de zauważył, że wskutek nadmiaru zwiedzających zaczynają z wolna blaknąć sławne malowidła, które izolowane przez tysiąclecia w chłodnej jaskini od wpływów zewnętrznych, obecnie stale przebywają w temperaturze 13°C przy wilgotności powietrza 97—99%. Zanieczyszczenie naturalnego środowiska jaskini i brak tlenu poczęły wywierać niekorzystny wpływ na prymitywne farby złożone z tłuszczów zwierzęcych, węgla drzewnego i tlenków minerałów oraz na wapienne podłoże malowideł. W 1975 r. temperatura wzrosła do 16—19°C, a wilgotność obniżyła się do 71 proc. — w tak zmienionych warunkach zaczęły rozwijać się mikroorganizmy mogące doprowadzić do zupełnego zniszczenia cennych malowideł. Dlatego też jesienią 1977 r. jaskinię zamknięto dla turystów, udostępniając ją jedynie naukowcom, którzy mieli orzec o jej dalszych losach.

Choć w międzyczasie proces niszczenia został zahamowany, a farby nawet częściowo się zregenerowały, wahało się czy stopień konserwacji pozwoli na ponowne wpuszczenie tłumów turystów. Myślano raczej o stworzeniu odpowiedniej repliki Altamiry w Muzeum Archeologicznym w Madrycie na użytek turystów, a udostępnianiu właściwej jaskini tylko nielicznym wybranym dla celów studyjnych, jak np. w Lascaux, gdzie dziennie wolno wchodzić tylko 5 osobom. Rozwiązanie takie nie zadowalało jednak władz i mieszkańców gminy Satillana der Mar, do której należy Altamira. Obawiali się oni znacznego zmniejszenia własnych dochodów wskutek odcięcia turystów od zyskowej jaskini i zagrozili udostępnieniem jaskini nawet siłą, jeśli w krótkim czasie specjaliści nie zdołają jej odpowiednio zabezpieczyć. Protesty ich zdecydowały w końcu o tym, że od lutego br. Altamira ponownie otworzyła swe podwoje, dopuszczając ograniczoną do 22 osób liczbę zwiedzających dziennie. Poza tym zamknięta jest (nawet w sezonie turystycznym) przez 10 dni każdego miesiąca. Przewiduje się, że jeśli słabo finansowane wciąż prace badawczo-konserwatorskie będą prze-

biegały pomyślnie, to w przyszłym roku możliwe będzie wprowadzanie do 100 zwiedzających dziennie. Nie zabezpieczyło to jednak w sposób absolutny przyszłości pięknych malowideł. Półśrodek ten zastosowano w innych miejscach, np. w jaskini Niaux we francuskich Pirenejach, gdzie zwiedzanie odbywa się w możliwie małych grupach, by nie podwyższać wilgotności powietrza i obowiązującej temperatury 12°C.

Zupełnie inaczej rozwiązano podobny problem we wspomnianej już jaskini Lascaux odkrytej przypadkowo w 1940 r. Wiek tamtejszych malowideł również przedstawiających zwierzęta, oceniono na 15 500 lat. Po udostępnieniu wnętrza jaskini publiczności w 1948 r., już po kilku latach ujawniły się fatalne skutki zmiany mikroklimatu Lascaux, mimo założenia specjalnych filtrów przy wejściu — malowidła pokryły zielone plamy spowodowane przez glony i drobnoustroje. We francuskiej jaskini wilgotność musi być utrzymana na poziomie 95%, a temperatura — ok. 14°C. Ale w samym tylko 1960 r. Lascaux odwiedziło 100 tys. ludzi. Grotę zamknięto ostatecznie w 1963 r., by uchronić ją przed inwazją mikroorganizmów rozwijających się w przyspieszonym tempie. Odtąd dostęp do niej mieli tylko naukowcy, a miliony turystów i miłośników sztuki z całego świata straciły okazję oglądania w oryginalne francuskich skarbow sztuki paleolitycznej.

Zgłoszona w 1972 r. propozycja trójwymiarowego odtworzenia Lascaux przy pomocy fototechniki wydawała się początkowo nierealna, a na skonstruowanie tego projektu potrzeba było wielu lat, wystąpiły bowiem znaczne trudności z jego sfinansowaniem. Ogromną pomoc fachową okazały laboratoria naukowe Muzeów Francji, Instytut Geografii oraz firma Kodak-Pathé.

Początkowo zamysłano stworzyć replikę Lascaux najmniejszym kosztem przy pomocy rzutowania barwnych diapozytywów malowideł na ściany sztucznej jaskini. Później jednak wykorzystanie stereofotogrametrii (stereoskopowe fotografowanie wnętrza groty pod różnymi kątami na tej samej osi) umożliwiło sporządzenie dokładnej dokumentacji i precyzyjne odwzorowanie malowideł bez zniekształceń.

Jedną z wyspecjalizowanych firm przygotowano na podstawie dokumentacji rzeźbę wnętrza jaskini osadzonej na drewnianej konstrukcji szkieletowej, podzielonej na 26 segmentów tworzących całość. Odtworzono w ten sposób część wnętrza groty długości 15,5 m i szerokości 9 metrów. Segmenty te wypełniono od wewnątrz blokami piankowego polistyrolu pokrytego warstwą sztucznej żywic z piaskiem, możliwie wiernie naśladując ukształtowanie powierzchni i fakturę skały. Na tak przygotowane podłoże precyzyjnie naniesiono fotograficzne odwzorowania malowideł przy pomocy niezwykle skomplikowanej techniki. Ta eksperymentalna, wstępna wersja Lascaux-II przez 2 lata prezentowana było publiczności jako samostanna wystawa, a następnie uległa rozbiórce i likwidacji.

Tymczasem na podstawie uzyskanych doświadczeń przystąpiono do konstruowania trwałej repliki jaskini. Zestawiane segmenty z drewna zastąpiła solidna, stała konstrukcja metalowa z nałożoną od środka stalową siatką oddającą dokładnie kształt wnętrza groty. Siatkę pokryto warstwą cementu modelowanego ręcznie, a następnie mieszaniną sproszkowanego marmuru i kwarcu, imitując też patynę tysiącleci. Technika stereofotogrametrii pozwalała plastynom nanosić na ściany groty kopie malowideł w oryginalnych barwach, zarysach, wielkościach i na właściwych miejscach. Zakończenie żmudnych prac i otwarcie Lascaux-II przewiduje się latem 1983 r.

Jednakże nie wszystkie zabytki sztuki naskalnej człowieka prehistorycznego otoczone są równą troską jak Altamira czy Lascaux.



Fryderyk Chopin — maska pośmiertna wykonana przez artystę Beaumonta

WSPÓŁCZEŚNI I POTOMNI O CHOPINIE

Jakże często rozbrzmiewa w naszych domach muzyka Fryderyka Chopina. Codziennie wchodzi do tysięcy mieszkań, wnosząc zachwyt, smutek i zadumę, a nade wszystko ukojenie swą na wskroś narodową, polską nutą, podaną w wykwintnych kształcie i formie. Jakże muzyka ta jest zawsze świeża, zawsze aktualna! Są w niej mazurki skoczne i posuwiste — pełne gwaru, zgiełku, zamieszania i weselości; są mazurki sielskie — smętne, pełne serdecznego bólu; są polonezy dźwięcznie brzmiące w wytwornych salonach mazowieckich dworców; polonezy przypominające rzepoleńskie orkiestry Ogińskiego. Są u Chopina skarby nieprzebrane, melodie wysnute z serca, rozrzucone po licznych sonatach, halladach, nokturnach, preludiach, i etюдach. Tu słyhać rzewną melodię ludową, płacz dziecka-sieroty, tam dźwięczy nuta polskiej kolędy i pastorałki, jeszcze w innym miejscu radośnie śpiewa skowronek, to znowu rozlega się szczyry śmiech wiejskiej dziewczyny, a tam... tam w Etюдzie Rewolucyjnej grzmia armaty najcięższego kalibru z powstania listopadowego.

Chopin, podobnie jak Kopernik, Sienkiewicz, Modrzejewska, Kościuszko, Skłodowska-Curie rozświetli szeroko i trwale imię Polski w świecie. Już współcześni hardzo wysoko ocenili twórczość Chopina. Najlakońiczniej uczynił to nasz wielki romantyk, poeta, rzeźbiarz i dramaturg — Cyprian Kamil Norwid: „Rodem — warszawianin, sercem — Polak, talentem — Świata Obywatel!”. Inny artysta i cudzoziemiec, Camille Bellaigue, trafnie i pięknie napisał: „Nie znam żadnego na świecie muzyka, który był większym patriotą od Chopina. Jest on Polakiem, i nikim innym jak Polakiem, w każdym calu, w każdej cząstce swej duszy — więcej niż ktokolwiek Francuzem, Włochem czy Niemcem”.

A oto słowa zachwytu i zarazem podziwu wielkiego kompozytora rosyjskiego, Antoniego Rubinsteina: „We wszystkich swoich kompozycjach raduje się Chopin wielkością swej ojczyzny, jak potem w sposób wzniosły i szlachetny optakuje jej upadek. Jego muzyka sięga krańcowych szczytów i bezdennych głębin serca ludzkiego. W Nim jest wszystko: tragizm i liryzm dramat i romantyzm, wielkość i wspaniałość, ukojenie, i spokój, prostota i sielskość... Chopin jest geniuszem samodzielnym pomiędzy największymi geniuszami świata”.

Wśród setek ocen największych artystów godzi się zacytować wielkość Chopina i jego muzyki, daną przez Rudolfa Breithaupta: „Ten geniusz uchyla w swojej twórczości zasłony nieskończoności i wprowadza nas w bramy wiecznej miłości i tęsknoty — pozwala spojrzeć w tajemnicze świadomości i marzenia duszy — w królestwo milczenia i niemoego zachwytu... On daje nam pojęcie nieskończoności”.

Przepiękną ocenę muzyki szopenowskiej dal też nasz rodak, Ignacy Feliks Dobrzyński (1807—1867): „(...) pierwiastki twórczości Chopina są zaczerpnięte z takich wyżyn świata idealnego, z takiej głębi uczuć, że zmysły nasze są za mało czule i delikatne, uczucia nasze za mało subtelne, nie dośyt przygotowane, by nadażyć do szczytów jego natchnień, aby je odczuć i zrozumieć...”.



Czy dzieci są szczęśliwe?

Rozpoczęcie nowego roku szkolnego jest zawsze częścią marzeń kilkumilionowej rzeszy dzieci. Nam, rodzicom, dziecięcy świat marzeń kojarzy się zwykle z krainą bez troski i radości, naszej nadziei i wiary w przyszłość. Widzimy jak codziennie dzieci rosną, stają się dorodniejsze, rozumniejsze. One właśnie nadają sens naszemu życiu. Są dobrem najwyższym rodziców i społeczności, źródłem najszlachetniejszych uczuć.

Świat współczesny, pełen paradoksów, tworząc międzynarodowe prawa ochrony dobra dzieci, nie potrafi jednak praw tych zabezpieczyć, nie zawsze może obdarzyć nimi wszystkie dzieci.

Druga połowa XX wieku przyniosła ludzkości prawdziwą rewolucję cywilizacyjną, a jednocześnie pogłębia między ludźmi podziały na biednych i bogatych, głodnych i sytych. Lata ostatnie nie wyeliminowały groźby wojny, głodu, analfabetyzmu oraz największej z groźb — choroby. Wszystkie te „nabytki” dwudziestego wieku z największą siłą uderzają groźnie w pokolenie najmłodsze — w dzieci. Codziennie, środki masowego przekazu, dostarczają wstrząsających informacji i dokumentów o milionach dzieci z tzw. Trzeciego Świata. Są one niszczone ciężką pracą, śmiercią lub żyją w analfabetyzmie, bez żadnej nadziei na lepszą przyszłość. Tysiące niewinnych dzieci w Afryce, Indiach, w krajach Bliskiego Wschodu, w Libanie, ginie każdego dnia z wycieńczenia lub pada ofiarą wojny, względnie zostaje kalekami i sierotami.

Niestety, nawet kraje najzamożniejsze, nie potrafią wszystkim swoim dzieciom zapewnić szczęśliwego dzieciństwa, bowiem społeczeń-

stwa te dzieli nierówność społeczna. Również w niektórych krajach w pełni demokratycznych, ciągle jeszcze występują krzywdzące różnice pomiędzy sytuacją dzieci uzależnionych od warunków materialnych, poziomem intelektualnego rodziców, a nawet od miejsca zamieszkania. Szczęśliwe dzieciństwo jest ciągle jeszcze nieosiągalnym marzeniem milionów dzieci i ich rodziców.

Sprawa niedożywienia dzieci w naszym kraju jest również problemem trudnym i wymagającym szybkiego rozwiązania. Sprawą dorosłych, którym dzieci nasze ufają, w których wierzą, jest ufności tej nie lekceważyć, nie zawieść, chronić dzieci przed złem, chorobami i otaczać mądrą, rodzicielską opieką.

Szczęśliwe dzieciństwo musi spoczywać w naszych rodzicielskich rękach, w rękach ludzi dorosłych, tych, co decydują o najważniejszych sprawach państwowych oraz tych, co wychowują (nauczycieli i wychowawców).

W nowym, 1982/83 roku szkolnym, musimy się zastanowić, czy naprawdę kochamy nasze dzieci i z prawdziwą troską myślimy o nich, czy zawsze mogą na nas liczyć w radościach i smutkach, w nauce i w zabawie, w dziecięcej codzienności. Tę codzienność, trudy i niedostatki, dostrzegać będziemy w ich trudnych warunkach nauki w szkole i w domu, w dzień i w nocy.

W tytule pytamy: czy dzieci nasze są szczęśliwe? Czy są szczęśliwi rodzice? Dwunastoletni chłopczyk, bardzo sympatyczny „łobuziak”, zapytany, co jada na śniadanie, odpowiada natychmiast: „Co się da!” — „A co się dzisiaj dało?” Odpowiada: „Kartoflane placki!” — „Co jesz na obiad?” — „Co się da!” — „A co się dzisiaj dało?” — „Kartoflane placki!” — „Co będziesz jadł na kolację?” Chłopczyk z uśmiechem odpowiada: „Co się da!” — „A co się na wieczór da?” — „Kartoflane placki!”

Zabiedzony maluch łobuzersko uśmiecha się, a nam łyzy kręcą się w oczach. Siedemdziesięcioletnia babunia, która tego chłopczyka jako sierotkę wychowuje i karmi, zapytana czy nie boi się śmierci, odpowiada również z ujmującym uśmiechem: „Nie, śmierci się nie boję. Przecież w trudzie całego żywota wypełniałam swoje obowiązki wobec Boga i rodziny. Każdy z nas musi umrzeć”.

ANTONI KACZMAREK





ASTRY

*Czy astry to gwiazdki
w pastelowym tonie?
Z zieleni listeczków
zerkają wciąż do mnie.*

*Pocałunki kwiatów
w czas letni zebrały,
z nich wielki, stubarwny
kobierzec utkaly.*

*Od stokrotek z ląki
dostały calusa
kremowo-białego,
chłodnego jak rosa.*

*Fioletowe dzwonki,
wdzięcznie się żegnając,
pogubiły barwę,
główki pochylając.*

*Błękitne blawatki
zakryły swe oczy
długimi rzesami
w szafirowej nocy.*

*Nie widać już maków,
ni kwiatów peonii,
od pąsowej barwy
jesień zaś nie stroni!*

*Rumienia się astry
amarantem jasnym,
czasem wrzos też doda
lila odcień własny.*

*Stokroci różowych
nakładają szaty,
bywa, że od róży
dostają szkarlaty.*

*Drobnitka maciejka
przytula je w nocy,
siną barwą zdobi,
całując ich oczy.*

*Słoneczne kolory
złocienie oddały,
w gorących uściskach
kwiatuszki witaly.*

*Chryzantemy złote,
dumne i uspaniałe,
z niepokojem liczą
swe płatki omdlale.*

*Asterkowe gwiazdki
w jesieni objęciach
wspominają lato
w kolorów ujęciach.*

MALGORZATA KAPIŃSKA

(wrzesień 82)

Czy umiesz kochać swoje dziecko?



Oczekując narodzin dziecka rodzice są jednocześnie szczęśliwi i zaniepokojeni. Zastanawiają się bowiem, czy podolają nowym obowiązkom. Jeśli nie będą słuchali „dobrych rad” sąsiadów i koleżanek, a zaufają jedynie lekarzowi i własnemu rozsądkowi, a także instynktowi (co ważne!) — wychowanie dziecka okaże się nie tak bardzo skomplikowanym zadaniem. Należy jednak pamiętać, że od chwili narodzin dziecko przyjmuje pewne cechy od otaczającego środowiska, stara się naśladować, a jednocześnie w każdym swoim poczynaniu pragnie być aprobowane i nagradzane.

Naturalna opieka rodzicielska, wynikająca z miłości, jest dla dziecka cenniejsza niż zaspokajanie potrzeb luksusowymi rzeczami; a każde wzięcie na ręce, choćby nawet początkowo niezgrabne, każdy uśmiech — budzą w nim uczucie przynależności do rodziny i bezpieczeństwa. Dziecko, gdy okazuje mu się uczucia, cieszy się z obecności rodziców, ich uśmiechu, pieczyoty, zabawy i rozmowy z nim. Maluch, który wyrośnie w takiej właśnie atmosferze, będzie w przyszłości człowiekiem czułym, umiejącym kochać, a nie zimnym i obojętnym. Nie należy bać się spełniania pragnień małego dziecka (oczywiście w granicach zdrowego rozsądku), w obawie przed rozpieszaniem go.

W pierwszych trzech latach życia dziecko rejestruje nie tylko zdarzenia z przeszłości, ale także związane z nimi uczucia. Zdarzenia i emocje związane z nimi składają się na dziecięce wspomnienia.

Można twierdzić, że tzw. psychiczne narodzenie człowieka dokonuje się za sprawą uczucia, a więc na przykład pocieszającego aktu głaskania. Już od pierwszych lat życia — na tej właśnie podstawie dziecko ocenia ludzi (jest jeszcze zbyt małe, by posiadać inną skalę porównawczą), docierają do niego informacje, że nowy świat nie jest wcale taki zły i akceptuje go jako członka wielkiej społeczności. Maluch nie obawia się ludzi, z dziecięcą ufnością garnie się do nowych osób i wyrabia w sobie poczucie pewności siebie, ocenę własnego „ja”.

Badania nad kryminalistami i przestępcami wykazały, że wielu z nich w dzieciństwie cierpiało na brak miłości i uczucia ze strony rodziców oraz całego otoczenia, na brak uśmiechu, aprobaty — wyrażanych choćby własnie głaskaniem.

Obecnie bardzo często widzi się rodziców chcących „wychować” swoje dziecko poprzez ciągłe tłumaczenie i wylizywanie, co maluchowi wolno, a czego nie. Jednak każde dziecko to odrębna indywidualność. Nie można być zbyt pobłażliwym, ani także zbyt surowym rodzicem, karcącym za wszystko co złe, gdyż może to ujemnie wpłynąć na osobowość dziecka i doprowadzić do nerwicy. Zamiast stawiać jako przykład kolegę lub koleżankę robiącą coś lepiej, wystarczy z uczuciem i troską podejść do dziecka, pogłaskać je i upewnić, że np. początki są zawsze najtrudniejsze, ale przecież da sobie radę, nie każdy

musi znać się na wszystkim. Taka właśnie reakcja podnosi dziecko na duchu, pozwala mu nabrać pewności siebie. Wtedy dziecko stara się przekonać rodziców, że ich nie zawiedzie, bo oni w niego wierzą.

Odwrotną reakcję wywołuje brak aprobaty ze strony rodziców i otoczenia. Często karcące dziecko, mające w swej świadomości obraz kogoś lepszego, komu nie potrafi dorównać — szuka innej drogi. Staje się uparte, ukrywa pewne fakty i zdarzenia, szuka wykretów. Dziecko takie czuje się winne, zaniepokojone i narasta w nim agresywne zachowanie.

Gniew rodziców na złe i agresywne zachowanie dziecka nie pozostaje niezauważony. Później dziecko często stara się reagować w ten sam sposób, wyladowując swą złość np. na młodszym rodzeństwie. A przecież każdy mały człowieczek lubi być grzecznym i dobrym. Rodzice rozsądnie kontrolując jego poczynania, okazując stanowczość lub wystarczająco silną dezaprobatę, nie pozwalają zbroczyć z właściwej drogi. Wówczas i dziecko rozumie, że jest kochane, a jakakolwiek ingerencja w jego sprawy może tylko pomóc mu w uniknięciu kłopotów.

Tak więc każdy człowiek od pierwszego dnia swojego życia potrzebuje uczucia, aprobaty i wyrobienia wiary w samego siebie. Niezależnie od wieku można to uzyskać poprzez dodawanie otuchy wyrażone głaskaniem. Jakże często dorośli ludzie oczekują na gest pocieszenia ze strony najbliższej osoby, zwłaszcza wtedy, gdy mają kłopot, napotykają na trudności życia codziennego. Skoro my, dorośli, oczekujemy na taką reakcję, bezradne, małe dzieci tym bardziej potrzebują pomocy.

Maluch w pierwszym roku życia zdany jest na dbałość, intuicję i gotowość niesienia pomocy ze strony dorosłych, zaspakajających jego potrzeby i pragnienia. Kocha osoby, które pielęgnują go; wie, że może na nich polegać, czuje się bezpieczny. Starsze dzieci zdają sobie sprawę z tego, że nie mają doświadczenia i samodzielności. Liczą na to, że będą kierowane, kochane i nagradzane za swe sukcesy — choćby dotykiem dłoni. Obserwując rodziców uczą się, jak być dobrymi obywatelami, matkami, ojcami.

Największym darem rodziców jest ich miłość do dziecka, której wyraz można dać w najrozmaitszy sposób: poprzez uśmiech malujący się na twarzy, spontaniczne przytulenie i ucałowanie, zadowolenie z postępów, pocieszenie, czuwanie nad bezpieczeństwem, dotyk główki lub policzka.

Nie bójmy się więc okazywać dziecku miłości, gdyż budzi to w nim zdolność do odwzajemniania tego uczucia, poczucie własnej wartości i umiejętność dostosowania się do każdego otoczenia. Pozostanie to w nim na całe życie. Zastanówmy się, czy rzeczywiście potrafimy kochać swoje dziecko?

oprac. M.SZ.

Odległe wspomnienie

Kiedy ruszyły koleje, pospieszyłam do Częstochowy i w październiku 1920 r. udałam się do szkoły, by zacząć pracę. Nauczycieli brakowało. Każda szkoła miała klasy rozrzucone po mieście, trudno więc było skontaktować się zarówno z kierownikiem, jak i z nauczycielami. Skierowałam swe kroki tam, gdzie mieściła się kancelaria szkolna, do budynku, w którym przed wiekami mieścił się magistrat. Od ulicy budynek wsparty wspornikami, od tyłu — wielkie podwórze ogrodzone murem, w głębi — niedokończony jednopiętrowy budynek i wykop pod fundamenty. Na podwórzu — moc dzieci: bójki, gonitwy, wpadanie i wypadanie z budynku.

„To szkoła nie na moje siły” — pomyślałam. — Wytłumaczę się kierownikowi i poproszę inspektora o powrót na wieś”. Minęła godzina, kierownik się nie zjawił, a ponieważ zaczął padać deszcz, wraz z grupką dzieci schroniłam się do sieni. „Trudno z tej setki wyłonić jedną klasę — myślałam — a co z resztą?”

Młodzież dopiero teraz zauważyła moją obecność. Zainteresowana moją osobą, zaczęła wypytywać: na kogo czekam, czy chcę kogoś zapisać do szkoły, do kogo mam interes. Odpowiedziałam monosylabami, ale to dzieci zdenerwowało.

— Niech pani coś powie, a może pani jest nauczycielką.

Wtedy zaryzykowałam im powiedzieć:

— Swego syna nie oddałabym do tej szkoły, bo byście go tu pokaleczyli. Jestem nauczycielką, ale nie miałabym siły tu uczyć, a czekam na pana kierownika.

— My jesteśmy fajne chłopaki, ale nie ma nas kto uczyć, więc wojujemy. Jeśli nas pani będzie uczyć, synowi włos z głowy nie spadnie, a kierownika to my tu prawie nie widzimy.

— Niech nas pani uczy, a zobaczy pani, jacy będziemy grzeczni — mówił jeden przez drugiego — i uczyć się będziemy dobrze, a bez nauczyciela jesteśmy łobuzami. Wejdziemy wszyscy do tej największej klasy, a pani z nami, dobrze

Przytaknęłam głową.

Zwoływali się, pokazywali na mnie, wreszcie zaczęli wchodzić do budynku. Gdy na podwórzu nie było już nikogo, podeszli do mnie ze słowami: „Niech się pani nas nie boi i wejdzie do klasy, wszyscy będą bardzo grzeczni!”.

Weszłam. Wszystkie oczy były pytająco zwrócone na mnie. Panowała grobowa cisza. „Cisza jak przed burzą” — pomyślałam i rozejrzałam się po klasie. W ławkach siedziało po czworo, reszta stała pod ścianami i tłoczyła się po kątach. Stołu i krzesła dla nauczyciela nie było. Widzieli moją bezradność.

„Biegnij po krzesło do woźnej” — powiedział jeden. W mig postawiono przede mną krzesło. Wsparłam się o nie tylko, żeby nie tracić z oczu całej klasy. Zaduch z brudnych, parujących ubrań spowodował u mnie szum w uszach i huk w głowie. Bezradnie spojrzałam w okna. Zrozumiano i otworzono je natychmiast. Spojrzałam w kierunku drzwi i te zaraz otworzono — chyba pomyślały wtedy, że nie ja nimi, ale one mną opiekować się powinny.

I naprawdę opiekowały się. Opiekowały się w zamian za naukę i za wycieczki, które im organizowałam. Organizowałam im też kino, wypożyczając filmy w Krakowie, i zapoznałam z radiem.

Dużo mogłabym napisać, jak sami organizowali dyżury na przerwach jak wspaniale zachowywali się na wycieczkach, jak zrozumieli koleżeństwo, wzajemną bezinteresowną pomoc. Zorientowawszy się, że wycieczki są dla nich jedyną atrakcją w bardzo szarym życiu, wszystkie pogodne niedziele i święta spędzałam z nimi w terenie. Na jednej zapoznawali się z budową lasu, na drugiej z podszyciem, na następnej z runem leśnym, z ptakami, ssakami itd. W podobny sposób poznawali łąkę, pole, a już najbardziej emocjonowali się wapiennymi skałami i zamkami w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

Ponieważ nie można było rozpocząć normalnej lekcji, zaczęłam rozmowę od rzeczy najbliższych, tj. od budynku, w którym się znajdowaliśmy. Młodzież określiła go jako stary „klak”, ale kiedy oznajmiłam im, że to dawny magistrat, liczący sobie kilka setek lat, zainteresowali się nim. Zwrócili uwagę na gotyckie sklepienie, na filary między salami, na wsporniki od zewnętrznej strony ścian.

Po przerwie chłopcy opowiadali o ruinach zamków znajdujących się w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej i o legendach z nimi związanych. Znałam te okolice z wycieczek harcerskich, ale nie przyznałam się do tego, by jak najczęściej pytaniami z nich wy dobyć i poznać ich zaintereso-



Wszystkim Nauczycielom i Wychowawcom z okazji Ich Święta składamy życzenia owocnej i pomyślnej pracy

sowania. Obiecałam wycieczki pod warunkiem, że będą się dobrze uczyć i wzorowo zachowywać. Wycieczki obmyśla i zorganizują sami, przedstawia mi ich plan, a ja przygotowuję ciekawe wiadomości. Wybiorą spośród siebie organizatorów, którzy za wszystko będą odpowiedzialni. Zawrzało w klasie od radości, zdawało się, że już mogą biec na wycieczkę, ale samorzutni gospodarze klasowi nakazali milczenie.

Po trzeciej przerwie wpadł jak bomba jakiś starszy pan, nie rozejrzawszy się po klasie, zaczął krzyżeć:

— Dlaczego tu wszyscy siedzicie? — Marsz do swoich klas.

— Uczymy się przecież.

— Ja ci się powtarzam! — krzyknął przybyły i zamierzył się laską. Za jego plecami rozległo się: „serdelas”.

Przeraziłam się, że naprawdę dojdzie do bójki, ale ten, do którego był skierowany epitet, udał przezornie, że nic nie słyszał.

Wreszcie spostrzegł mnie.

— A pani co tu? — zapytał i zrobił rezolutną minę.

— Tu mnie skierowano do pracy.

— A coś tam mówił inspektor.

— Oni tu krzyczą, hałasują — zaczął znowu i trzeba ich krótko trzymać, nawet kija nie żałować.

— Wyjdźcie z klasy — powiedział, a mnie wziął pod rękę i zaprowadził do bardzo zaniechanego pokoju nauczycielskiego i zaczął, z miną nadskakującego młodzieńca, wypytywać. Nie umiałam z nim rozmawiać, lekceważyłam go tak jak uczniowie.

Żeby dotrzymać obietnicy, na lekcjach przyrody i geografii przygotowywałam tematy wycieczek, by jeszcze

wykorzystać pogodne niedziele.

Na wycieczki chodziło się wówczas pieszo i boso, butów na zmnarowanie rodzice nie dawali. Bosi przynosili przez kałuże i potoki tych w bucikach. Silniejsi nosili słabszym łobuzom z żywnością w swoich workowych plecakach. Byli tła siebie usłudźni i koleżeńscy. Wiedzieli, że nie jestem silna, łbali o to, żebym się nie przemęczała, na przykład mówieniem. Wydawali polecenia głośno, wyręczając mnie. Wprowadziłam zwyczaj siadania w czasie odpoczynku w kole. Od obozu nie wolno było odejść na odległość widzenia dyżurującego. Zakazów i nakazów było co niemiara, np. zachować ciszę w lesie — domu zwierząt, wrócić do domu bez kwiatka, nie kąpać się, nie wchodzić na drzewa, nie pić wody z nieznannej studni, nie wchodzić na skały bez pozwolenia, nie spocić się w czasie zabawy. Myślałam, że nie wszystkie były słuszne, ale na moich wycieczkach nikt nie złamał nawet paznokcia.

Gdy grupa wycieczkowiczów powiększyła się o dziewczęta z kursów dla dorosłych, moi uczniowie mieli jeszcze większą okazję do wykazania swej „samorodnej” kultury. Podziwiałam te dzieci z przedmieścia, których nikt nie wychowywał, a przeciwnie — wyzywano je, bito, poniewierano, a one tak wspaniale umiały się zachowywać tu, gdzie mogły użyć swobody.

Kiedys w rozmowie powiedzieli mi, że chcą być takimi Polakami, o jakich ja im opowiadałam, że gdy dorosną, muszą być nie byle kim.

oprac. E.S.
(na podstawie pamiętnika nauczycielki Natalii Jakubowskiej).

Pogadanki O HISTORII KOŚCIOŁA

Sytuacja wyznaniowa w okresie międzywojennym w Polsce

Państwo polskie powstało po 123 latach niewoli, miało być domem rodzinnym dla wszystkich swoich dzieci. O tym marzyły miliony prostych ludzi, działacze

stronnictw społeczno-politycznych i wyznań religijnych. Szybko jednak okazało się, że marzenie to nie zostanie zrealizowane. Decydujący głos w odrodzonej Ojczyźnie zyskali zamożni ziemianie, bogate mieszczaństwo i duchowieństwo rzymskokatolickie. Jak już wspomnieliśmy w poprzedniej pogadance, w Konstytucji Marcowej wyjątkowe miejsce przyznano najliczniejszemu Kościołowi Rzymskokatolickiemu. Prawne stanowisko w tym względzie określa artykuł 114: „Wyznanie rzymskokatolickie będące religią przeważającą większości narodu zajmie w państwie naczelną stanowisko wśród równouprawnionych wyznań. Kościół Rzymskokatolicki rządzi się własnymi prawami”.

Przywileje tego Kościoła rozszerzył Konkordat, zawarty między rządem a Watykanem w 1925 roku. Chociaż do rządu należeli również pravicowi antyklerykałowie, którzy niechętnym okiem patrzyli na władzę biskupów rzymskokatolickich, to jednak umieli żyć z nimi w zgodzie, zwłaszcza po przewrocie majowym w 1926 roku, kiedy władzę przejął marszałek Józef Piłsudski. Rząd w okresie międzywo-

jennym bowiem zdawał sobie sprawę z tego, że nie utrzyma się bez poparcia hierarchii rzymskokatolickiej.

W tej sytuacji mniejszości narodowe oraz wyznaniowe zmuszone były szukać poparcia i obrony nawet w obojętnych religijnie, ale radykalnych i antyklerykalnych ugrupowaniach społecznych i politycznych, zwłaszcza wówczas, gdy wielokrotnie, dramatyczne apele o prawną obronę i opiekę ze strony rządu pozostawały bez echa. W sprawach dotyczących religii i dziedzin z nią związanych, rząd nie kierował się Konstytucją. Prezydent Rzeczypospolitej, rozporządzeniem z maja 1931 r. i marca 1933 roku, zniósł ostatnie postanowienia prawne sprzeczne z konkordatem. Kościół Rzymskokatolicki umiał wykorzystać stwarzane mu warunki, by powiększyć swoją ziemską potęgę. Zorganizował gęstą sieć związków i stowarzyszeń, które miały za zadanie wpływać na życie społeczne, a po części gospodarcze i polityczne. Przewodnią siłą była kierowana bezpośrednio przez episkopat „Akcja Katolicka”. Od fanatyków „Akcji Katolickiej” najwięcej ucierpiało

prawosławie i wyznania nie mające rejestracji prawnej, zwłaszcza rozwijający się w Polsce, zaledwie od kilku lat, Polski Narodowy Kościół Katolicki.

W okresie międzywojennym zostało uznanych przez państwo sześć nierzymskokatolickich związków wyznaniowych, tj. takich, które były już uprzednio uznane przez państwa zaborcze, a w Polsce przedwrzesniowej uregulowano ich sytuację prawną na nowych podstawach. Są to: 1. Żydowski Związek Religijny. 2. Wschodni Kościół Staroobrzędowy nie posiadający hierarchii duchownej. 3. Muzułmański Związek Religijny w Rzeczypospolitej Polskiej. 4. Karański Związek Religijny. 5. Kościół Ewangelicko-Augsburski w Rzeczypospolitej Polskiej. 6. Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny.

Natomiast Kościół Ewangelicko-Reformowany w Rzeczypospolitej Polskiej, Kościół Mariawicki i Kościół Starokatolicki opierały swój byt prawny w latach 1919—1939 na dawnych przepisach zaborczych.

Ks. ALEKSANDER BIELI

PORADY

Lekarskie

UWAGA

Uwagą nazywamy skierowanie świadomości na określony przedmiot, gdy zaś odrywamy świadomość od przedmiotu, który nas winien absorbować, mówimy o nieuwadze. Uwaga jest oczywiście cechą bardzo pożądaną, a jej nawet chwilowy brak może przysporzyć wiele kłopotów.

Uwaga może być dowolna, gdy umyślnie wysiłkiem woli zatrzymujemy uwagę na jakimś przedmiocie np. w trakcie słuchania wykładu czy podczas pracy. Może też być mimowolna, gdy idąc ulicą zatrzymamy na chwilę uwagę na przechodniu oryginalnie ubranym, czy na dwu goniących się psiakach.

Uwaga dowolna cechuje przede wszystkim ludzi dorosłych. I tak kierowca musi uważać na znaki drogowe i innych użytkowników jezdni, kasjer z uwagą musi liczyć pieniądze, lekarz uważnie wsłuchiwać się, badając chorego, w najdrobniejszy szmer jego serca. Uwaga dowolna kształtuje się w okresie przejściowym od wczesnego dzieciństwa do dojrzałości.

Uwaga dziecka znacznie się różni od uwagi człowieka dorosłego. Im dziecko młodsze, tym częściej uwaga jego mimowolna. Dziecko jest całkowicie pochłonięte zabawą, od której w danym momencie trudno je oderwać, szybko jednak zabawę tę rzuca i zmienia przedmiot uwagi. Dzieci trochę starsze, którym trudno jest utrzymać uwagę w



napięciu, dzieci z zaburzeniami uwagi mają na ogół duże trudności w pracy szkolnej.

Zaburzenia u dzieci mają różny charakter. W pewnych wypadkach, szczególnie u dzieci z opóźnieniem rozwoju umysłowego, dziecko nie interesuje się niczym, ani zabawą, ani nauką. W innych, częstszych wypadkach, nieuwaga pozostaje w ścisłym związku z nadpobudliwością ruchową. Dziecko takie po prostu nie może długo usiedzieć na jednym miejscu, bardzo mu trudno uważać na lekcji, nie jest zdolne dłużej skoncentrować uwagi na jednym przedmiocie. Trzeba tu jednak odróżnić dzieci żywe i ruchliwe z natury, na ogół inteligentne, interesujące się wszystkim dookoła, które wszystko muszą zobaczyć i wszystkiego dotknąć, od dzieci chorobliwie nadpobudliwych, nie potrafiących się skupić nad niczym ani przez chwilę.

Są też dzieci nieuważne, które nie są ani nadmiernie ruchliwe ani opóźnione w rozwoju. Są to dzieci — mali marzyciele. W klasie siedzą spokojnie, wydają się nawet w skupieniu słuchać nauczyciela. W rzeczywistości zupełnie nie uważają i myślą o czym innym. Na lekcjach nie przeszkadzają, ale same niewiele z lekcji korzystają. Dzieci te mają nie dość wyrobioną, jak na

ich wiek szkolny, uwagę dowolną. Łatwo jest u nich znaleźć jednak taki teren, na którym skupiają uwagę całkowicie, może to być jakiś mecz, ciekawy film czy dyskusja o kosmonautach. Nieumiejętność jednak skupienia się na sprawach mniej je interesujących może stanowić dużą trudność w nauce szkolnej.

Przyczyną zaburzeń uwagi obok opóźnień w rozwoju umysłowym bywa też epilepsja. Niekiedy też przyczyną jest osłabienie wzroku czy słuchu, o czym nie wiedzą ani rodzice, ani szkoła. Przyczyną nieuwagi mogą być różne niedomagania organizmu dziecka, infekcje w obrę-

bie nosa i gardła, zapalenie zatok czołowych, pierwotne zakażenie gruźlicze, które nie daje innych dolegliwości czy innych objawów poza nieuwagą. Wreszcie przyczyną trudności w skupieniu uwagi może być nieodpowiednie odżywianie, brak wypoczynku, zbyt krótki sen nocny, czy nawet niewłaściwe ubranie dziecka (zwykle zbyt ciepłe), a również złe wietrzenie pomieszczenia, w którym dziecko się uczy.

Bardzo często jednak zaburzenia uwagi nie mają żadnych przyczyn uchwytnych — dziecko potrafiłoby uważać, a jednak nie uważa. Często po prostu nie nauczone je uważać! Czasem nauczyciel prowadzi lekcje w sposób tak nudny, że uważać trudno. Czasem uwagę dziecka od pracy szkolnej odrywają kłopoty domowe. Wiadomo pedagogom, że np. dziecko, które na co dzień bywa świadkiem kłótni rodziców, dziecko, które czuje się odsunięte i niekochane, nie potrafi skupić się i uważać na lekcjach. Niekiedy znowu brak uwagi ze strony dziecka jest reakcją na brak zainteresowania się rodziców jego życiem w szkole. Po co ma uważać, skoro nikogo to nie interesuje? Bywa wreszcie tak,

że dziecko nie nauczyło się uważać, nie zostało wdrożone do żadnego wysiłku, nie odróżnia pracy od zabawy. Tak zdarza się często z dziećmi nadmiernie rozpieszczonymi, z jedynakami, od których matka odsuwa każdy wysiłek.

Gdy mamy do czynienia z zaburzeniami uwagi u dzieci, główną sprawą jest wykrycie i usunięcie przyczyny. W wielu wypadkach dobrze jest zacząć od wizyty u lekarza. Jeśli dziecko jest osłabione, ma słabszy słuch czy wzrok, lekarz wiele tu może pomóc. Jeśli nieuwaga dziecka spowodowana jest nadpobudliwością ruchową, obok leków uspakajających, często skuteczne jest stosowanie ćwiczeń ruchowych i gimnastycznych. Czasem, jeśli przyczyną są niekorzystne układy domowe, wystarczy zmieniła stosunek rodziców do dziecka, choćby nawet nie dało się zmienić sytuacji obiektywnej.

I na koniec trzeba jeszcze i o tym pamiętać, że uwagę można ćwiczyć, ćwiczyć powoli i wytrwale. Normalne, zdrowe dziecko nie rodzi się bowiem uważne, ani nieuważne, lecz takim się staje. Im wcześniej usunie się przyczyny zakłócające uwagę dziecka, tym lepsze będzie ono mogło osiągnąć wyniki w pracy szkolnej.

A.M.





Rozmowy z Czytelnikami

Pani Zofia K. ze Skoczowa, pan Stanisław S. z Tarnobrzega i Alojzy K. z Ostrowca dziękują w uprzejmych słowach za uzyskane odpowiedzi. Z treści listów bije nieklamane zadowolenie. Czytamy w nich o uznaniu dla naszego tygodnika, dla całej Redakcji, a także dla anonimowej postaci duszpasterza, prowadzącego dział rozmów. Wszyscy jesteśmy wdzięczni za życzliwą ocenę naszej pracy. Dobre słowo znacznych Czytelników mobilizuje szczerze siły redakcyjne do jeszcze większego wysiłku i gorliwości w służbie Bogu, Ojczyźnie i konkretnym Współbraciom za pomocą „Rodziny”.

Pani Zofia akceptuje w całości wyjaśnienia, dlaczego w Kościele Polskokatolickim nie ma aktualnie zgromadzeń zakonnych. Prosi o podanie adresów mariawickich wspólnot na Śląsku i martwi się, bo nie zawsze może zdobyć nasz tygodnik w kioskach. Chciałaby też wiedzieć, dlaczego ludzie i odchyleniach psychofizycznych nie powinni być przyjmowani do zakonów.

Zacna Siostrze. Redakcja nie dysponuje mapą placówek mariawickich, ani też innych wspólnot kościelnych poza macierzystymi, czyli przynależnymi do rodziny polskokatolickiej. Radzę napisać do władz interesującego Siostrę Kościoła, skąd nadejdzie pełna informacja. Władze Starokatolickiego Kościoła Mariawitów mieszczą się w Płocku, przy ul. Wieczorka 27/29, kod: 09-400, zaś Katolickiego Kościoła Mariawitów w Felicjanowie koło Płocka, poczta Bodzanów 09-470. Dostawę naszego tygodnika do domu można sobie zapewnić dzięki prenumeracie na pocztie lub u listonosza. Wpłaty można dokonywać na okresy kwartalne, półroczne i roczne. Od 1 lipca br. kioski otrzymały zezwolenie na zakładanie teczek prenumeratorskich. Radzę założyć sobie taką teczkę w najbliższym kiosku, do którego dociera „Rodzina”, i to zapewni ciągłość w otrzymywaniu pisma.

Ludzie z dewiacjami psychofizycznymi bardzo często szukali i szukają schronienia w klasztorach oraz wśród duchowieństwa świeckiego zwłaszcza tych Kościołów, które sprzyjają celibatowi. Chodzi głównie o osoby mające wrodzony wstręt do płci od-

miennej. Oczywiście tacy ludzie stanowią tylko margines, ale ten margines może rzucić poważny cień na cały stan duchowny i dlatego Kościoły starają się, by ten margines był jak najmniejszy.

Pan Stanisław S. z Tarnobrzega postuluje, by w tej rubryce i na innych stronach „Rodziny” poświęcić jeszcze więcej miejsca Pismu Świętemu. Jego zdaniem znajomość Biblii w społeczeństwie spada, chociaż utrzymuje się popyt na nią jako na książkę. Ludzie kupują Biblię, ale jej prawie nie czytają, bo Pismo Święte nie stanowi łatwej lektury: „Sam kilkakrotnie zacząłem studiować jakąś Księgę i szybko zniechęcałem się trudnościami w zrozumieniu tekstu. Teraz zmieniłem metodę. Czytam najpierw artykuły biblijne w pismach religijnych (poczesne miejsce zajmuje wśród tych pism „Rodzina”) i dopiero wówczas odszukuję dane fragmenty w Biblii. Drukujcie jak najwięcej przystępnie, prosto i ciekawie napisanych prac na tematy biblijne”.

Robimy Panie Stanisławie co możemy. W każdym numerze są przynajmniej dwa ściśle religijne, pisane możliwie najłatwiejszym językiem artykuły religijne, zazwyczaj związane ściśle z tematyką Ksiąg świętych. Tematykę „Rozmów” dyktują sami Czytelnicy. Czekamy na listę problemów i obiecujemy sukcesywnie je rozsupływać.

Pan Alojzy uzupełnia obraz dręczących go niepokojów, które sygnalizował w poprzedniej korespondencji: „Wchodzę do lekarza lub do urzędu z postanowieniem, że zachowam spokój i będę uważnie słuchał tego, co mi powiedzą. Stojąc jednak przed doktorem lub urzędnikiem, czuję wzrastającą treść, jakam się i gubię wewnątrz. Niby słyszę i rozumiem to, co do mnie mówią, ale głos dociera do mojej świadomości jakby przez watę ściśle zamykającą uszy. Po wyjściu z gabinetu nie mogę sobie przypomnieć nawet treści wskazań, nie mówiąc o konkretnych zaleceniach.

Kiedyś byłem u kolegi na przyjęciu w gronie kilku osób. Po powrocie do domu siostra pyta mnie, jak tam było, o czym rozmawialiśmy, w co kto był ubrany. Po zastanowieniu się stwierdziłem, że nic nie pamiętam. Ze-

branych na przyjęciu ludzi nie poznałbym na ulicy, bo siedząc przy stole unikałem lustrowania ludzkich twarzy i strojów, by ktoś nie pomyślał, że jestem źle wychowany”.

Młody nasz Czytelnik kończy zwierzenia trwożnym pytaniem: „Czy to początek u mnie choroby psychicznej?”

To nie jest jeszcze, młody Przyjacielu, choroba psychiczna, ani

jej początek. Nigdy nie słyszałem by ktoś rzeczywiście chory psychicznie podejrzewał siebie o tę chorobę. Jesteś zdrowym na umyśle człowiekiem. Prześladowaj cię jedynie kompleksy. Walcz z nimi. Próbuje żyć dla innych, a nie tylko dla siebie. Pomocy szukaj w modlitwie i u przyjaciół.

Biogłosławieństwa Bożego życzy
DUSZPASTERZ



Jesień w tym roku ma wiele uroku...

Ukazał się drugi tom książki
ks. bp. Maksymiliana Rodego
pt. **Filozofia dziejów rozwoju myśli społecznej**
tom II — *Starożytność*, stron 515, cena 80 zł.

Nadto są jeszcze do nabycia tegoż Autora następujące książki:

Filozofia dziejów rozwoju myśli społecznej
tom I — *Prastarożytność*, stron 551, cena 80 zł.

Ideologia społeczna Nowego Testamentu
tom I — *Idee polityczne i gospodarcze*, stron 372, cena 50 zł,

tom II — *Idee społeczne*, stron 492, cena 50 zł,

tom III — *Instytucje społeczne*, stron 587, cena 60 zł.

Książki te nabyć można tylko w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, 00-246 Warszawa, ul. Miodowa 21 — bezpośrednio albo za zaliczeniem pocztowym.

INFORMACJA

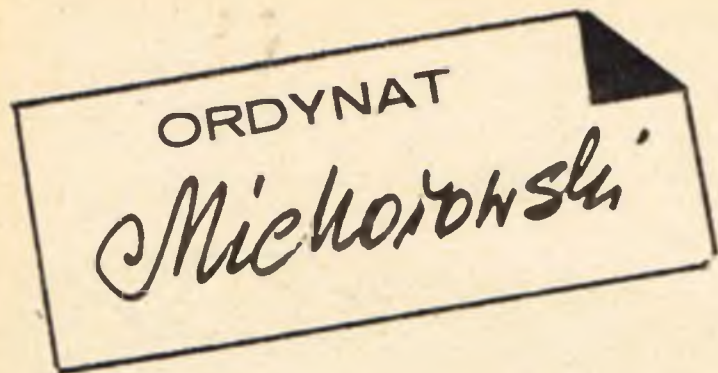
W „Rodzinie” nr 15 na 27 czerwca br. ukazała się informacja o promocji doktora ks. Wiktora Wysoczańskiego.

Informujemy, że recenzentami rozprawy doktorskiej ks. Wiktora Wysoczańskiego byli: z Uniwersytetu Warszawskiego — prof. dr hab. Michał Pietrzak, a z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej — bp prof. dr Maksymilian Rode.

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wójtowicz, ks. Wiktor Wysoczański (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciolek (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Ewa Stomał, Małgorzata Zientarska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312, roczna na 1982 r. — 492 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Zam. 445. Z-34.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



— Co za „kobiecinę”?
— A no: ciała. Ekspertów nie brakuje. Niech pan spojrzy na Michorowskiego.

Ordynat drgnął.
Panowie patrzyli na Bohdana, który pożerał oczami szansonistki.
Waldemar ze swoją firanką był pod przykrym uczuciem obawy, by go nie dostrzeżono. Zasunął się głębiej.

Na estradzie zmieniały się śpiewy na tańce, na monologi swobodnych blażenstw. Jakiś murzyn wykrzykiwał głosem koguta, przedstawiając sztuki magiczne.

Sala wypełniła się chmurą dymu. Panował gwar ożywionych rozmów, strzelały śmiechy, dowcipy i szampan. Śpiewaczki i tancerki weszły na salę, mieszały się z publiką. Jakiś chłopak obnosił w wielkim słoju cięte kwiaty i sprytnie trafił tam, gdzie najwięcej płacono. Bodzio ogromny pęk róż ładnym ruchem złożył na talerzu swej towarzyszki. Tu i tam odbywały się podniecone alkoholem gardłowe chrypięcia męskie. Zabawa toczyła się.

Waldemar myślał:
— To jednak konieczne. W naturze ludzkiej znajduje się zawsze gruczołek, zawierający zakaźny element rozpusty. Tylko u jednych jest on odległy od ostrego zęba pokusy i trwa w swoim zamknięciu. Nie trącony nie pęka i nie zatrzuwa. U innych jest w bardzo mocnym pęcherzyku, nasyconym przez etykę lub flegmatyczność krwi. Ale jest — rozdarty mniejszą czy większą siłą, wypływa i drażni. Trzeba posiadać olbrzymią twórczą moc, aby bezkarnie wypluć go z siebie, gdy już rozciąga nad nim władztwo.

Więc zabawa to trucizna? Czy też tylko pulsowanie duchowej istoty ludzkiej, podjudzone przez żądzę ciała. Woda nagażowana burzy się, lecz z chwilą, gdy ostatni balonik gazu uleci, pozostaje zimną i młą.

Piana jest igraszką fal. Im większy temperament wewnętrzny kipi i żyje, tam piana wyżej bucha i staje się zahorczą. I ogarnia skały, niedostępne brzegi dla najgłębszych, lecz poważnych nurtów.

To temperament, nie zabawa.

To raczej twórczość.

Wyrzywa się z głębin i szalenie unosi w górę atomy, zrodzone duchową potęgą wewnętrzną, by objąć nowe horyzonty lub zatracić swą lotność na nędżnych rozpryskach, po gołolodzi niebezpiecznych raf.

To nie zabawa.

Większość ludzi nie zdoła oprzeć się szeptom chochlika, który każdemu trafi w zanadrze, a nic łatwiejszego jak popełnić fałszywy krok pod kierunkiem tego malca. Śmiech, włók osłepia, i — powrót już trudny.

Więc się hrać.

Dla umysłu zabawa jest niemal konieczną, uspakaja niby kroplisty szmer fontanny po monotonnym turkocie pracy. I orzeźwia bystrym strumieniem duszy zapalony ił powszedniości.

Brać zabawę i rozkosz życia, pić ją pełnym haustem, tylko trzeba umieć trzymać, by się jej czara nie chybnęła. Rozleje się albo pokaże bezcenne dno. Trzeba umieć oddzielić od źródeł zabawy żyły rozpustności, bo one toczą zgnilą materię. Najpierw nacierają na ciało, potem wraz z nim spodłają ducha.

Waldemar ocknął się. Przyciszony głos i słowa przy stoliku zwróciły jego uwagę.

— Oho! Krew Michorowskich! Ciska się kogucik. Patrz pan, patrz pan — awantura!

— Jakaś sprzeczka. Magnaciątko rzuca się — szepnął drugi głos.
Przy stoliku z primabaleriną wrzało. Bohdan i jeden z obcych młodzieńców zamieniali ze sobą jakieś popędliwe słowa. Twarz Bodzia pałała ogniem gniewu i ironii. Strojna dama miała minę zmieszaną i chęć do ucieczki. Kilku lokajów podsunęło się bliżej stolika. Z innych miejsc patrzono ciekawie, ale gwar nie ustawał.

Waldemar dojrzał, iż Bodzio rzucił przeciwnikowi kartę. Baletnica zerwała się z miejsca. On zatrzymał ją energicznie i wymienił bardzo uprzejmy ułkon z młodzieńcami, którzy opuścili stolik. Zgromił wzrokiem gapiących się kelnerów, tak, że usunęli się prędko przestraszeni, wstał z miną udzielnego księcia i z wielką dystynkcją, puszczać przodem swą damę, wyszedł z sali. Waldemar dostrzegł, że zniknęli oboje w drzwiach jednego z dalszych gabinetów.

— Nie darował swego! — mruknął głos obok łoża.

— Ponieśli tam szampana. Pewno o nią się pcczubili.

— Jak jelenie. Michorowski zaimponował swą kartą, i zwycięzca.

— Awantura, panie, arabsko-kabaretowa. Ale ten młodzik i lufy się nie zięknie.

Waldemar słyszał te słowa. Przeniknął go niemily dreszcz.

XXIX

Przeciwnicy skierowali na siebie gardła pistoletów. Bohdan przed komendą rzekł do swego sekundanta, Stalskiego, przyjaciela z Nicei:

— Ja walę w powietrze, a on, jak chce.

Raz, dwa..

Huknęły strzały.

Bodzio skrzywił się, pistolet wypadł mu z dłoni. Lewą ręką schwycił za mięśnie prawej.

Podbiegli do niego.

Przez rękaw sączyła się krew. Bodzio zawałał nią palce. Patrząc na czerwone plamy, rzekł z pozornym spokojem, chociaż zęby mu szczykały:

— No, to się pierwszemu Michrowskiemu zdarzył taki casus. Ojej! Moi przodkowie w grobie się przewróca.

Lekarz obejrzał ranę. Ciało prawej ręki było przestrelone na wylot, ale kość nie ruszona.

Bodzio wyciągnął drżącą z bólu dłoń do swego przeciwnika.

— Wybaczmy sobie, prawda? Swoją drogą — może to nie wypadła, ale powiem: oto żaluję, że panu nie odtrąciłem małego paluszka u nogi. Co?! To dopiero byłby strzał! Na drugi raz się poprawię.

W karcie Bohdan osłabł.

— Nie tyle z bólu, ile pewno z wrażenia — uspakajająco rzekł lekarz do Waldemara.

— Pierwszy pojedynek — to emocja.

Bohdan coś szeptał zbiegającymi wargami. Ordynat podtrzymał go.

— Co mówisz Bodziu? — spytał troskliwie.

— Ee! Nic. Ale to nie koniec. Wyzwę kiedyś jakiegogo tam... i... kropnę aż miło. Brugi raz taki głupi nie będę.

Syknął z lekka i szepnął jeszcze.

— Ojej! Żeby choć było o co?..

Przez kilka dni ordynat nie mógł się dowiedzieć przyczyny pojedynku.

Bohdan zaciął się w milczeniu.

Nareszcie sam zaczęził Waldemara.

— Wuj, czy kobieta warta jest, żeby za nią umrzeć?..

— Nie wiem, o jakiej kategorii kobiet mówisz?

(29)



A to ciekawe...

Ludowe powiedzonko mówi: „od piwa głowa się kiwa, a od wódki — rozum krótki”. Zdaniem australijskiego lekarza, dr Georga Mac-Connolly, powiedzonko to znalazło swoje naukowe potwierdzenie. Lekarz ten, przez długie lata przeprowadzał badania rentgenowskie ludzi pijących i niepijących. Stwierdził, że u ludzi, którzy wypijają codziennie 2—3 szklanki wina, piwa lub kieliszek mocniejszego alkoholu, proces starzenia się komórek organizmu następuje dużo szybciej niż u niepijących. Starzenie to następuje w komórkach mózgu.

Dr John Gleen z Edynburga, w jednym z medycznych pism wychodzących na terenie Wielkiej Brytanii, ogłosił niedawno, że ekstrakt z pewnego gatunku ryb morskich łowionych u wybrzeży Anglii, wyraźnie wpływa na poprawę pamięci starszych ludzi. Wystarczy zażywać przez 2—3 tygodnie po łyżce tego lekarstwa (będącego wysuszonym ekstraktem ryb), by osiągnąć wyraźną poprawę pamięci.

Naukowcy uniwersytetu w Pensylwanii (USA) przeprowadzili serię badań powszechnie używanych w tym kraju środków nasennych. Okazało się, że na przykład, leki działające znakomicie w pierwszych fazach bezsenności, używane przez dłuższy okres czasu, powodują wręcz odwrotny skutek, a także wywołują pewne nieodwracalne zmiany w mózgu i często prowadzą do narkomanii.

Już w starożytności czosnek uznano za nader skuteczny lek. Obecnie jest on doceniany i chętnie byłby konsumowany powszechnie, gdyby nie jego silny i nieprzyjemny dla otoczenia zapach. Według doniesień prasy francuskiej okazuje się, że po blisko 20 latach prób i doświadczeń, pewnemu japońskiemu ogrodnikowi udało się wyhodować nową odmianę czosnku, zachowującą wszystkie własności lecznicze i witaminowo-smakowe, a nie posiadającą niemiłego zapachu. Miejmy nadzieję, że z czasem bezwonny czosnek trafi i na nasze plantacje.

Dawno twierdzono, że oczy odzwierciedlają stan zdrowia człowieka. Stawianie diagnozy na podstawie oględzin oka, a szczególnie tęczy, pozostawiano jednak szarlatanom i znachorom. Obecnie, w niektórych krajach zachodnioeuropejskich, lekarze zainteresowali się taką metodą diagnostyczną. Rozwinęła się już nawet nowa gałąź nauki — irydologia. Nazwa ta pochodzi od słowa „iris” — tęczy. Lekarze tej specjalności stawiają diagnozy na podstawie wyglądu oka pacjenta, a szczególnie, tęczy i rogówki. Zdaniem irydologów, niejednakowe zabarwienie tęczy i gałki ocznej jest wyrazem zaburzeń hormonalnych, a np. szaro-żółty wygląd rogówki — świadczą o zatruciu pokarmowym. Irydologia, jak dotąd, ma wielu przeciwników, ale i entuzjastów.

Amerykańscy psychiatrzy przestrzegają przed lekceważeniem fobii (irracjonalnego lęku), jako jednostki chorobowej wymagającej leczenia. Wymienia się przy tym nie tylko takie przypadki jak klaustrofobia (lęk przed zamkniętą przestrzenią), czy ogorofobia (lęk przed dużą, otwartą przestrzenią) ale również fobie wywoływane przez wodę, ogień, burze, widok krwi, wysokie budynki, lęk przed bakteriami, gazem, prądem, chorobą nowotworową i wiele innych. Psychiatrzy doliczyli się ogółem 211 rodzajów fobii!